

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Aleksander Puszkín

CÓRKA KAPITANA

**Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001**

Rozdział pierwszy

Sierżant gwardii

– Zostałby w gwardii jutro kapitanem.
– Nie trzeba tego: niech w armii posłuży.
– Niezgorzej powiedziano! Niech pocierpi...
Ale któż jest jego ojcem?

Kniaźnin

Ojciec mój, Andrzej Pietrowicz Griniow, służył w młodości przy hrabi Minichu i przeszedł w stan spoczynku w randze premier-majora w roku 17... Odtąd siedział w swojej wsi w sibirskiej guberni i ożenił się z panną Awdotią Wasiliewną J., córką miejscowego uboższego szlachcica. Było nas dziewięcioro dzieci. Bracia moi i siostry poumierali w niemowlęctwie.

Matka jeszcze nosiła mnie w brzuchu, kiedy zaliczono mnie z łaski majora gwardii, księcia B., do siemionowskiego pułku w szarży sierżanta. Major B. był naszym bliskim krewnym. Jeśliby zawiodły nadzieje i matka urodziłaby córkę, wówczas papa dałby znać, gdzie należało, o śmierci sierżanta, który się nie stawił, i cała sprawa na tym by się skończyła. Aż do ukończenia nauk figurowałem na liście pułku jako urlopowany. W owych czasach chowano nas nie po dzisiejszemu. W szóstym roku życia oddano mnie w ręce masztalerza Sawielicza, którego za trzeźwość mianowano moim piastunem. Pod jego okiem nauczyłem się w wieku lat dwunastu czytać i pisać po rosyjsku i byłem w stanie ocenić zalety charta. Wówczas to papa zaangażował do mnie Francuza, Mr. Beaupre, którego sprowadzono z Moskwy wraz z rocznym zapasem wina i oliwy prowansalskiej. Przyjazd tego pana mocno nie podobał się Sawieliczowi. „Chwała Bogu – mruczał pod nosem – dziecko zdaje się umyte, uczesane, nakarmione. Właśnie trzeba tracić pieniądze i wynajmować m u s j e,¹ jakby brak było swoich ludzi!”

Beaupre w ojczyźnie swojej był fryzjerem; służył potem w Prusach jako prosty żołnierz, przyjechał wreszcie do Rosji *pour etre*² n a o u t c h i t e l nie bardzo rozumiejąc, co to słowo znaczy. Był to dobry chłop, lecz wietrznik i wartogłów w najwyższym stopniu. Główną jego słabością był pociąg do płci pięknej; nierzadko za tkliwość swoją otrzymywał szturchańce, po których stękał całymi dniami. Nie był przy tym (według własnych słów) wrogiem butelki, tj. (mówiąc po naszymu) nie lubił wylewać za kołnierz. Ponieważ jednak wino podawano u nas tylko przy obiedzie, i to po kieliszku, przy czym omijano zwykle nauczyciela, mój Beaupre rad nierad dość prędko przyzwyczaił się do rosyjskiej nalewki i począł ją nawet wychwalać ponad wina ojczyste jako niepomiernie bardziej dla żołądka

¹ zniekształcone: *monsieur* – pan.

² żeby być

pożyteczną. Zżyliśmy się natychmiast i chociaż według umowy obowiązany tył uczyć mnie francuszczyzny, niemiezczyzny i wszystkich nauk, wolał jednak sam nauczyć się ode mnie paplać byle jak po rosyjsku, po czym każdy z nas zajmował się już swoimi sprawami. Żyliśmy w świętej zgodzie. Innego mentora nie pragnąłem wcale. Lecz wkrótce los nas rozłączył, a stało się to z powodów następujących:

Praczką Pałaszka, dziewczka tłusta i ospowata, oraz zezowata krowiarka Akulka zgłosiły się jakoś jednocześnie do mojej matki i rzuciwszy się jej do nóg, przyznały się do występnej słabości, oskarżając z płaczem *m u s j e* że nadużył ich niedoświadczenia. Matka nie lubiła żartów podobnych sprawach, poskarżyła się więc – ojcu. Sprawa z ojcem była krótka. Zawezwał natychmiast kanalię Francuza. Zameldowano, że *m u s j e* ma ze mną lekcję. Ojciec poszedł do mego pokoju. W tym właśnie czasie Beaupre spał na łóżku snem sprawiedliwego. Ja – zajęty byłem pracą. Trzeba wiedzieć, że sprowadzono dla mnie z Moskwy mapę. Wisiała ona na ścianie bez żadnego użytku i od dawna już kusiła mnie szerokością i dobrym gatunkiem papieru. Postanowiłem zrobić z niej latawiec i korzystając ze snu Beaupreego wziąłem się do dzieła. Ojciec wszedł w tej właśnie chwili, gdy przytwierdzałem ogon do Przylądka Dobrej Nadziei. Ujrzawszy moje ćwiczenia geograficzne, targnął mnie za ucho, po czym podbiegł do Beaupreego, zbudził go nader szorstko i zasypał wyrzutami. Zmieszany Beaupre chciał podnieść się i nie mógł: nieszczęsny Francuz był pijany jak bela. Siła złego na jednego. Ojciec podniósł go z łóżka za kołnierz, wypchnął za drzwi i tegoż dnia przepędził na cztery wiatry ku niewysłowionej radości Sawielicza. Na tym się skończyła moja edukacja.

Żyłem dalej jak Nidorostek, uganiając się za gołębiami i grając w *czecharde* z parobczakami. Tymczasem skończyłem lat szesnaście. Wtedy los mój uległ zmianie.

Pewnego razu jesienią matka smażyła konfitury z miodem, a ja oblizując się patrzyłem na kipiącą piankę. Ojciec przy oknie czytał „Kalendarz Dworski”, który przysyłano mu corocznie. Ta książka zawsze wywierała nań silny wpływ. Nigdy nie odczytywał jej obojętnie i lektura ta wywoływała w nim zawsze zadziwiające wzburzenie żółci. Znając na pamięć wszystkie zwyczaje i obyczaje męża, matka zawsze starała się ukryć nieszczęsną książkę jak najgłębiej i w ten sposób „Kalendarz Dworski” całymi nieraz miesiącami nie nasuwał się ojcu na oczy. Lecz gdy wpadł w jego ręce, wówczas ojciec godzinami zatapiał się w lekturze. Tak więc ojciec czytał „Kalendarz Dworski” wzruszając od czasu do czasu ramionami i mrużąc półgłosem: „Generał–porucznik... Był w mojej kompanii sierżantem... Obu orderów rosyjskich kawaler... A dawnoż to razem ze mną?...” Rzucił ojciec „Kalendarz” na kanapę i popadł w zadumę, nie wróżącą nic dobrego. Nagle zwrócił się do matki:

– Awdotio Wasiliewno, ileż to lat ma Pietia?

– A ot, zaczął siedemnasty roczek – odpowiedziała matka. – Urodził się, kiedy to paraliż tknął ciotkę Anastazję Gierasimownę i kiedy jeszcze...

– Dobrze – przerwał ojciec – czas mu już iść do wojska. Dość tej bieganiny za dziewczynami i włożenia na gołębnik.

Myśl o bliskiej ze mną rozłące tak dotknęła matkę, że upuściła łyżkę w rondelek i łzy popłynęły jej po twarzy. Natomiast trudno opisać mój zachwyty. Myśl o służbie zespoliła się we mnie z myślami o wolności, o rozkoszach życia w Petersburgu. Widziałem się już oficerem gwardii, co było według mnie szczytem ludzkiej szczęśliwości.

Ojciec nie lubił zmieniać swych postanowień ani też odwlekać ich spełnienia. Oznaczono datę mego wyjazdu. W przeddzień ojciec zapowiedział, że ma zamiar pisać w mojej sprawie do przyszłego mego dowódcy i zażądał pióra i papieru.

– Nie zapomnij, Andrzeju Pietrowiczu – rzekła matka – kłaniać się i ode mnie księciu B., mam przecie nadzieję, że nie odmówi łaskowości naszemu Pieti.

– Co za głupstwo – odpowiedział ojciec chmurząc się – z jakiej racji mam pisać do księcia B.?

– Ależ powiedziałeś przecie, że raczysz pisać do dowódcy Pieti?

– No więc cóż z tego?

– Przecież książe B. jest dowódcą Pieti. Pietia zapisany jest do pułku siemionowskiego.

– Zapisany! Cóż mnie obchodzi, że zapisany? Pietia nie do Petersburga jedzie. Czegóż on się nauczy służąc w Petersburgu? Tracić pieniądze i hulać? Nie, niech posłuży pierwszej w armii, popracuje, powącha prochu, by wyrobił się na żołnierza, nie na gwardyjskiego firecyka! Zapisany! Gdzie jego paszport? Daj mi go tu.

Matka znalazła paszport, schowany w jej szkatułce razem z koszulką, w której byłem chrzczony, i drżącą ręką wręczyła go ojcu. Ojciec przeczytał go uważnie, położył przed sobą na stole i zabrał się do pisania listu.

Ciekawość dręczyła mnie. Dokądże to mnie wysyłają, jeśli nie do Petersburga? Nie odrywałem oczu od ojcowskiego pióra, które poruszało się dość wolno. Skończył wreszcie, zapieczętował list razem z paszportem, zdjął okulary i wezwawszy mnie powiedział: „Oto masz list do Andrzeja Karłowicza R., starego mojego kolegi i przyjaciela. Jedziesz do Orenburga, by służyć pod jego dowództwem”.

Tak więc wszystkie moje świetne nadzieje rozpadły się w gruzy. Zamiast wesołego życia w Petersburgu czekała mnie nuda w dalekiej głuchej prowincji. Służba, o której przed chwilą myślałem z takim zachwytem, wydała mi się ciężkim nieszczęściem. Lecz próżno byłoby się opierać. Nazajutrz rankiem przed ganek zajechała kibitka podróżna; ułożono w niej kufer, puzdro z przyborami do herbaty oraz zawiniątko pełne bułek i pierogów – ostatnich oznak rozkoszy domowych. Rodzice pobłogosławili mnie. Ojciec powiedział: „Żegnaj, Piotrze, służ wiernie temu, komu przysięgniesz, słuchaj zwierzchników: o ich łaski nie zabiegaj; nie napieraj się służby, lecz i nie wymawiaj się od niej, i pomnij na przysłowie: «Strzeż ubrania, póki nowe, a honoru od młodu»”. Matka ze łzami zalecała mi dbać o zdrowie, a Sawieliczowi – czuwać nad dziećciem. Ubrali mnie w kubrak zajęczy, na wierzch zaś włożyli lisie futro. Siadłem do kibitki z Sawieliczem i ruszyłem w drogę, zalewając się łzami.

Tejże nocy przyjechałem do Symbirsk, gdzie miałem spędzić całą dobę celem zakupu potrzebnych rzeczy co było polecone Sawieliczowi. Zatrzymałem się w oberży. Sawielicz od rana poszedł do sklepów. Znudziło mnie patrzeć z okna na brudny zaułek, począłem więc wałęsać się po wszystkich pokojach. W sali bilardowej ujrzałem wysokiego pana lat trzydziestu pięciu, w szlafroku, z długimi czarnymi wąsami, z kijem bilardowym w rękę i fajką w zębach. Grał z markierem, który w razie wygranej wypijał kieliszek wódki, po przegranej zaś musiał na czworakach przeciskać się pod bilardem. Zacząłem przyglądać się grze. Im dłużej trwała, tym częściej zdarzały się spacery na czworakach, dopóki wreszcie markier nie pozostał pod bilardem. Pan wypowiedział nad nim kilka mocnych słówek zamiast mowy pogrzebowej i zaproponował mi partię. Odmówiłem tłumacząc się nieznamościami gry. Wydało mu się to widocznie dziwne. Spojrzał na mnie jakby z politowaniem, rozgadaliśmy się jednak. Dowiedziałem się, że nazywa się Iwan Iwanowicz Zurin, że jest rotmistrzem w *** pułku huzarów i asystuje w Symbirsku przy poborze rekruta, a stoi tu w oberży. Zurin zaproponował mi, byśmy wspólnie zjedli obiad, ot taki, jak Bóg dał, żołnierski. Zgodziłem się chętnie. Siedliśmy do stołu. Zurin pił dużo i częstował mnie, tłumacząc przy tym, że należy przyzwyczaić się do służby; opowiadał anegdoty wojskowe, a ja, słuchając, niemal tarzałem się ze śmiechu. Wstaliśmy od stołu jako zdecydowani przyjaciele. Wtedy podjął się nauczyć mnie gry w bilard. „Jest to – mówił – rzecz konieczna u nas w wojsku. Przyjedziesz na przykład do miasteczka. – czym tu się zająć? Nie wystarczy przecie ciągle bić Żydów. Mimo woli zajdziesz do oberży i zagrasz w bilard; no, ale trzeba umieć grać!” Przekonał mnie zupełnie i nader pilnie wziętem się do nauki. Zurin głośno zachęcał, podziwiał szybkie moje postępy i po kilku lekcjach zaproponował grę na pieniądze, po groszu, nie dla wygranej, ale ot tak sobie, byle tylko nie grać za darmo, bo to, jego zdaniem, najgorsze przyzwyczajenie. Zgodziłem się. Zurin kazał dać ponczu i namówił mnie, bym spróbował, powtarzając wciąż,

że należy zaprawiać się do służby, a cóż warta służba bez ponczu! Posłuchałem go. Gra tymczasem trwała. Im częściej pociągałem z mojej szklanki, tym bardziej wzbierała we mnie odwaga. Kule co chwila wyskakiwały z bilardu, gorączkowałem się, wymyślałem markierowi, który liczył Bóg wie po jakimu, zwiększałem stawkę z godziny na godzinę, słowem – zachowywałem się jak uczeń, co wyrwał się na swobodę.

Czas mijał tymczasem niepostrzeżenie. Zurin spojrzął na zegarek, położył kij i oznajmił, że przegrałem sto rubli. Zmieszało mnie to cokolwiek. Pieniądze moje miał Sawielicz. Zacząłem się usprawiedliwiać. Zurin przerwał mi: „Ależ nie niepokój się. Mogę przecież poczekać, a tymczasem pojedziemy do Arinuszki”.

No cóż! Dzień skończył się równie bezmyślnie, jak się zaczął. Kolację zjedliśmy u Arinuszki. Zurin wciąż mi dolewał przygadując, że należy przyzwyczajać się do służby. Wstałem od stołu, ledwo trzymając się na nogach; o północy Zurin odwiózł mnie do oberży.

Sawielicz czekał na nas na ganku. Jęknął spostrzegłszy niewątpliwe oznaki mego przejęcia się obowiązkiem służby. „Cóż to, paniczu, z tobą się stało? – rzekł żałośliwym głosem. – Gdzież to się ululałeś? Och, Panie Boże! Jak żyję, takiego grzechu u nas nie bywało!” – „Milcz zrędo! – odparłem zacinając się – pewnoś się upił; idź spać... i pomóż mi się rozebrać”.

Zbudziłem się nazajutrz z bólem głowy, mętnie przypominając sobie wczorajsze przygody. Rozmyślenia moje przerwał Sawielicz przynosząc mi kubek herbaty. „Wcześniej, Piotrze Andrieiczu – rzekł kiwając głową – wcześniej hulać zaczynasz. I w kogo się wrodziłeś? Przecież ojciec ani dziad twój nie byli pijakami; o matuchnie nie ma co i mówić: odkąd żyję, nic prócz kwasu nie raczyła wziąć do ust, ani kropli. A kto temu wszystkiemu winien? Przeklęty m u s j e. Co i rusz, bywało, przybiegnie do Antypiewny: «M a d a m, ż e w u p r i w ó d k j u !». ³ Ot i masz «ż e w u p r i !» Nie ma co, doprowadził, psi syn. I trzebaż było brać wychowawcę bisurmana! Jakby brakło naszemu panu swoich ludzi!”

Wstyd mi było. Odwróciłem się i odpowiedziałem: „Idź sobie, Sawielicz, nie chcę herbaty”. Lecz niełatwo było poskromić starego, gdy raz zaczął kazanie. „Ot, widzisz, Piotrze Andrieiczu, co znaczy rozhulać się. I w główce ciężar, i jeść się nie chce. Pijanica nie zda się na nic... Napij się soku ogórkowego z miodem, a najlepiej byłoby wybić klin klinem – pół szklaneczki nalewki. Czy nie rozkażesz?”

W tej chwili wszedł chłopczyk i podał mi kartkę od I.I.Zurina. Rozwinąłem ją i wyczytałem, co następuje:

„...Kochany Piotrze Andrieiczu, proszę uprzejmie, przyślij mi przez chłopca przegrane wczoraj sto rubli. Pieniądze są mi na umór potrzebne.

Sługa unizony
Iwan Zurin”.

Cóż było począć. Zrobiłem obojętną minę i zwracając się do Sawielicza, który był stróżem „moich pieniędzy i bielizny, i spraw wszelkich”, kazałem dać chłopcu sto rubli. „Co? Jak?” – spytał zdumiony Sawielicz. „Zadłużyłem się u niego” – odpowiedziałem możliwie najchłodniej. „Zadłużyłem się! – powtórzył Sawielicz, coraz bardziej zdumiony – lecz kiedyż to, panie, zdażyłeś się zadłużyć? Coś w tym jest niedobrego. Wola twoja, panie, lecz pieniądze nie dam!”

Pomyślałem sobie, że jeśli nie przemogę w tej chwili upartego starca, to w przyszłości trudno mi będzie wyzwolić się spod jego kurateli; spojrzałem więc dumnie na niego i rzekłem: „Jam twój pan, tyś mój sługa. Pieniądze są moje. Przegrałem je, bo mi się tak podobało; a tobie radzę nie mędrkować, lecz robić, co ci każe”.

Sawielicz był tak uderzony moimi słowy, że klasnął w ręce i osłupiał. „Czego stoisz?” –

³ zniekształcone: *Madame, je vous prie...* – proszę panią o...

krzyknąłem gniewnie. Sawielicz zapłakał. „Dobrodzieju mój, Piotrze Andrieiczu – przemówił głosem drżącym – nie każ mi skisnąć ze smutku. Światło ty moje! Posłuchaj mnie, starego: napisz do tego zbója, żeś żartował, że nie mamy nawet tak dużych pieniędzy. Sto rubli! Boże mój miłosierny! Powiedz, że ci rodzice surowo zabronili grać, chyba na orzechy...” – „Dość gadaniny – przerwałem ostro – dawaj pieniądze albo cię na łeb wypędzę”.

Sawielicz spojrział na mnie z głębokim smutkiem i poszedł po pieniądze. Żał mi się zrobiło biednego staruszka, lecz chciałem wyzwolić się i dowieść, że już nie dziecko. Pieniądze dostarczono Zurinowi. Sawielicz pośpieszył wywieźć mnie z przeklętej oberży. Zjawił się z wiadomością, że konie gotowe. Z nieczystym sumieniem i milczącą skruchą wyjechałem z Symbirska, nie pożegnawszy się z moim nauczycielem i nie sądząc, abym miał się z nim kiedykolwiek spotkać.

Rozdział drugi

Przewodnik

*Kraino ty moja, kraino Kraino nieznaną!
Ani sam nie przyszedłem do ciebie,
Ani koń dzielny mnie tu nie przywiózł –
Zawiozła tu mnie, dzielnego junaka,
Ręczość i zuchwałość junacka,
I lekkomyślność pijacka.*

Staroświecka pieśń

Rozmyślenia moje w podróży niezbyt były przyjemne. Przegrana według cen ówczesnych była dość znaczna. Nie mogłem nie uznać w duszy, że moje zachowanie się w sycyberkiej traktierni było głupie, i czułem się winien wobec Sawielicza. Wszystko to mnie dręczyło. Stary siedział posepnie na koźle, odwróciwszy się ode mnie, i milczał pochrząkując tylko z rzadka. Pragnąłem koniecznie pogodzić się z nim i nie wiedziałem, od czego zacząć. Wreszcie powiedziałem.

– No, no, Sawielicz, dość już. Pogódźmy się, zawiniłem; sam widzę, że zawiniłem. Narobiłem wczoraj głupstw a ciebie obraziłem niesłusznie. Obiecuję na przyszłość mądrzej się zachowywać i słuchać ciebie. No, nie gniewaj się, pogódźmy się.

– Eh, dobrodzieju Piotrze Andrieiczu! – odpowiedział wzdychając głęboko. – Zły jestem na siebie: sam jestem winien, stary głupiec. Jakżeż to ja mogłem zostawić cię samego w oberży? Cóż robić? Złe skusiło! Zachciało mi się powlec do diaczychy, odwiedzić kumę. Tak to, tak: zaszedł do kumy – trafił do turmy! Nieszczęście i tyle. Jak to ja stanę teraz przed oczami moich państwa? Co zrobię, jak im powiem, że dziecko gra i pije?

Żeby pocieszyć biednego Sawielicza, dałem mu słowo nigdy odtąd bez jego wiedzy nie dysponować nawet jedną kopiejką. Stopniowo uspokoił się, lecz jeszcze mruczał od czasu do czasu, kiwając głową: „Sto rubli! Mała rzecz!”

Zbliżałem się do celu mej podróży. Wokół rozpościerała się smutna pustynia, przecięta wzgórkami i wądołami. Śnieg pokrywał wszystko. Słońce zachodziło. Kibitka mknęła wąską drogą albo raczej śladem wyłobionym przez chłopskie sanie. Nagle woźnica jął rozglądać się dokoła i wreszcie, zdjawszy czapkę, zwrócił się ku mnie ze słowami:

– Panie, czy nie każesz zawrócić?

– A to po co?

– Czas niepewny: wiatr się zrywa, o, jak zmiata śnieg.

– Cóż w tym złego?

– A widzisz, panie, ot tam?

Woźnica wskazał batem na wschód.

– Nic nie widzę prócz białego śniegu i jasnego nieba..

– A ot, ot: ten obłoczek!

Ujrzałem w istocie na skraju nieba biały obłoczek, który miałem początkowo za oddalony wzgórek. Woźnica objaśnił mi, że obłoczek zapowiada buran. Słyszałem o tamecznych zamieciach i wiedziałem, że zasypywały śniegiem całe karawany. Zgodnie z poradą woźnicy, Sawielicz był za powrotem. Lecz wiatr wydał mi się niezbyt mocny; nabrałem nadziei, że zdążymy na czas do następnej stacji, i rozkazałem popędzać konie.

Kibitka pomknęła, lecz woźnica wciąż spoglądał na wschód. Konie biegły cwałem. Wiatr z każdą chwilą nabierał mocy. Obłoczek stał się białą chmurą, która zwiększała się, ciężko pełną w górę, i stopniowo powlokła niebo. Począł sypać drobny śnieg i nagle jął walić płatami. Zawył wichur, rozszalała się zawierucha. W jednej chwili ciemne niebo zmieszało się z morzem śniegu. Wszystko znikło.

– No, panie – krzyknął woźnica – nieszczęście, buran!

Wyjrzałem z kibitki: mrok i wichur naokół;

Wiatr wył z tak wściekłą siłą, że wydawał się żywą istotą; śnieg zasypał mnie i Sawielioza; konie szły coraz wolniej i wreszcie stanęły.

– Czemu nie jedziesz? – spytałem zniecierpliwiony woźnicę.

– Jak tu jechać? – odparł złącząc z kozła. – Niewiada, gdzieśmy zajechali: drogi nie widać, ćma dokoluteńko.

Zacząłem nań krzyczeć. Sawielicz ujął się za nim.

– Ze też pan nie posłuchał – mówił gniewnie – wróciłoby się do zajazdu, napiłby się pan do syta herbaty, odpoczął do ranka, burza by ucichła, pojechalibyśmy dalej. I dokąd tak spieszą? Gdybyż to jeszcze na weselisko!

Miał słuszność. Nie było rady. Śnieg walił i walił. Wokół kibitki rosły zaspasy. Konie stały ze zwieszonymi łbami, drgając od czasu do czasu. Woźnica kręcił się koło sań i nie mając nic do roboty porządkował uprzęż. Sawielicz mruczał; ja – rozglądałem się na wszystkie strony w nadziei, że ujrzę gdzieś oznakę życia lub ślady drogi; lecz nic nie mogłem dostrzec prócz mętного wiru zawieruchy... Nagle ujrzałem coś czarnego.

– Hej, woźnico! – krzyknąłem – patrz: co tam się czerni?

Woźnica począł wpatrywać się.

– A Bóg wie, panie – rzekł siadając na miejscu – wóz nie wóz, drzewo nie drzewo, lecz zdaje się, że się rusza. Widno, człowiek albo wilk.

Kazałem jechać w kierunku nieznanego przedmiotu, który natychmiast posuwać się począł w naszą stronę. Po dwóch minutach natknęliśmy się na człowieka.

– Hej, dobry człowieku! – krzyknął doń woźnica. – Powiedz, czy nie znasz tu drogi?

– Droga tu, stoję na twardym gruncie – odparł podróżny – ale co z tego?

– Słuchaj, chłopie – powiedziałem – czy znasz tę okolicę? Czy podejmiesz się dowieźć mnie do noclegu?

– Okolicę znam – odparł podróżny – chwała Bogu, schodziłem ją i zjeździłem wzdłuż i wszerz. Ale widzisz jaka pogoda: ani się obejrzyś, jak zjedziesz z drogi. Lepiej zatrzymać się tu i przeczekać, a nuż przycichnie burza i rozjaśni się; znajdzie się wtedy droga według gwiazd.

Zimna krew nieznanego ośmieliła mnie. Postanowiłem, zdając się na wolę boską, nocować w stepie, gdy nagle podróżny siadł z ręcznie na kozła i rzekł do woźnicy:

– No, chwała Bogu, ludzie niedaleko. Skręcaj na prawo i jazda.

– Czemu to mam jechać na prawo? – spytał woźnica niezadowolony. – Gdzie tu widzisz drogę? Mądryś! Konie cudze, zaprzęg nie twój, popędzaj, nie stój.

Wydało mi się, że woźnica ma słuszność.

– W rzeczy samej – rzekłem – z czego wnosisz, że ludzie niedaleko?

– A bo wiatr pociągnął stamtąd – odparł podróżny – i czuję: dymem zapachniało;

widocznie wieś blisko.

Spostrzegawczość jego i subtelność węchu zdumiały mnie. Kazałem jechać. Konie z trudem brnęły w głębokim śniegu. Kibitka z wolna sunęła, raz wjeżdżając w zaspę, to znów zsuwając się w rozpadlinę, i chwiała się to na jedną, to na drugą stronę. Robiło to wrażenie podróży łodzią po wzburzonym morzu. Sawielicz stękał, co chwila tłukąc się o mój bok. Opuściłem kaptur, opatuliłem się i zdrzemnąłem, ukołyszany śpiewem burzy i chwianiem powoli sunącej kibitki.

Przyśnił mi się sen, którego nigdy nie mogłem zapomnieć i w którym do dziś dnia widzę coś proroczego, gdy porównuję z nim dziwne koleje mojego żywota. Wybacz mi to czytelnik wiedząc zapewne z doświadczenia, jak wrodzona jest człowiekowi wiara w cudowność, bez względu na wszelką pogardę dla przesądów.

Umysł mój i dusza znajdowały się w takim stanie, gdy jawa, ustępując pod naporem marzeń, zlewa się z nimi w niejasnych majakach pierwszego snu. Zdawało mi się, że buran sroży się jeszcze i że wciąż błądzimy po śnieżnej pustyni. Nagle ujrzałem wrota i wjechałem na podwórzec naszego dworu. Pierwszą moją myślą było, żeby ojciec nie rozgniewał się na mnie za mimowolny powrót pod dach rodzicielski i żeby nie wziął tego za nieposłuszeństwo. Niespokojny, wyskoczyłem z kibitki i widzę: na ganku spotyka mnie matka z głębokim smutkiem na twarzy, „Ciszej – mówi – ojciec jest chory, konający i pragnie widzieć się z tobą”. Rażony trwogą, idę za nią do sypialni. Widzę: pokój słabo oświetlony; u wezglowia stoją ludzie ze smutnymi twarzami. Po cichutku podchodzę do łóża; matka podnosi zasłonę i mówi: „Andrzeju Pietrowiczu, Pietia przyjechał; wrócił dowiedziawszy się o twojej chorobie, pobłogosławił go”. Ukląknęłam i zwróciłam oczy na chorego. I cóż?... Zamiast ojca widzę w łóżku chłopca z czarną brodą, wesoło na mnie spoglądającego. Zdumiony, zwracam się do matki i mówię: „Cóż to znaczy? To nie ojciec. I z jakiej racji prosić mam o błogosławieństwo chłopca?” „Wszystko jedno, Pietia – odparła matka – to twój przybrany ojciec; pocałuj go w rękę i niech cię pobłogosławi...” Opierałam się. Chłop wtedy wyskoczył z łóżka, wyrwał zza pleców topór i jął nim machać na wszystkie strony. Chciałem uciec... nie mogłem. Pokój zapelniał się martwymi ciałami; potykałem się o trupy i ślizgałem w kałużach krwi... Straszny chłop łaskawie wołał na mnie, mówiąc: „Nie lękaj się, przyjmij moje błogosławieństwo!” Ogarnęła mnie trwoga i zdumienie... I w tej chwili obudziłem się; konie stanęły. Sawielicz targał mnie za rękę, mówiąc:

– Wychodź, panie, przyjechaliśmy!

– Dokąd? – spytałem przecierając oczy.

– Do zajazdu. Pan Bóg czuwał, wpadliśmy wprost na płot. Wychodź, panie, prędzej i ogrzej się.

Wysiadłem z kibitki. Burza srożyła się wciąż, choć z mniejszą już siłą. Było tak ciemno, że choć oko wykol; Gospodarz powitał nas u wrót, trzymając latarnię pod połą, i wwiódł mnie do świetlicy ciasnej, lecz dość czystej; oświetlała ją łuczywo. Na ścianie wisiała gwintowana strzelba oraz wysoka czapka kozacka.

Gospodarz, Kozak jaicki z rodu, wyglądał na lat sześćdziesiąt, lecz czerstwy był jeszcze i dziarski. Sawielicz wniósł puzdro z przyborami, kazał rozniecić ogień na herbatę, która nigdy jeszcze nie wydawała mi się tak pożądana. Gospodarz zakrzętnął się.

– A gdzie przewodnik? – spytałem Sawielicza.

– Tu, wasza wielmożność – odpowiedział mi głos z góry.

Spojrzałem na wyżkę i ujrzałem czarną brodę i parę błyszczących oczu.

– Cóż, bracie, zziębłeś?

– Jak tu nie zziębnąć w jednym cieniutkim kubraczku! Miałem kozuch, ale co tu gadać – zastawiłem u szynkarza wieczorem: mróz wydawał się niewielki.

W tej chwili wszedł gospodarz z kipiącym samowarem: zaproponowałem przewodnikowi filiżankę herbaty; chłop zlął z wyżki. Powierzchność jego wydała mi się godna uwagi. Lat

miął czterdzieści, wzrost średni; był szczupły, lecz szeroki w barach. W czarnej brodzie pokazywała się tu i ówdzie siwizna; wielkie, żywe oczy biegały nieustannie. Twarz miała wyraz dość przyjemny, lecz szelmowski; włosy ostrzyżone na okrągło; okrywał go podarty kubrak, szarawary miał tatarskie. Poczęstowałem go filiżanką herbaty. Spróbował i skrzywił się.

– Wasza wielmożność, zrób łaskę... każ mi dać szklanę wódki; herbata – to nie nasz, nie kozacki trunek.

Z chęcią uczyniłem zadość jego; żądaniu. Gospodarz wyjął z szafy butelkę i szklaneczkę, podszedł doń i spojrzawszy mu w twarz powiedział:

– Ehe, ty znów w naszych stronach! Skąd to Bóg prowadzi?

Przewodnik mruknął znacząco i odrzekł:

– Po sadzie latałem, konopie dziobałem, rzuciła babcia kamykiem, lecz przeleciał bokiem. No, a jak tam wasi?

– Co tam nasi! – odparł gospodarz równie tajemniczo – na nieszpór chcieli dzwonić, lecz popadła nie każę: pop w gościnie, diabli w kruchcie.

– Milcz, kochasiu – zaprzeczył mój włóczęga – deszczyk spadnie, grzybki wyrosną, a jak grzybki wyrosną, znajdzie się i koszyk; a teraz – tu znów mrugnął okiem – siekierę na plecy: leśnik chodzi. Zdrowie waszej wielmożności!

Przy tych słowach ujął szklanę, przeżegnał się i wypił jednym łykiem, po czym uklonił mi się i wrócił na wyżkę.

Nie mogłem nic zrozumieć z tego zbójckiego żargonu, później dopiero domyśliłem się, że rzecz dotyczyła wojska jaickiego, dopiero co uśmierzonego po buncie 1772 roku. Sawielicz słuchał z wielkim niezadowoleniem. Spoglądał podejrzliwie na gospodarza, to znów na przewodnika. Zajazd, czyli według gwary tamecznej: u m i o t, znajdował się na ustroniu, w stepie, z dala od miejsc zamieszkałych i bardzo przypominał zbójczą jaskinię. Lecz nie było rady. O dalszej podróży nie można było nawet myśleć. Niepokój Sawielicza bawił mnie niepomernie. Tymczasem udałem się na spoczynek: wyciągnąłem się na ławie. Sawielicz postanowił ulokować się na piecu; gospodarz leżał na podłodze. Wkrótce cała izba zachrapała i ja zasnąłem jak zabity.

Gdy zbudziłem się rankiem dość późno, spostrzegłem, że burza ucichła. Słońce jaśniało. Śnieg leżał oślepiającą powłoką na niezmiernym stepie. Konie były zaprzężone. Zapłaciłem gospodarzowi, który podał rachunek tak umiarkowany, że nawet Sawielicz nie targował się z nim, wbrew swemu zwyczajowi, i wczorajsze podejrzenia zupełnie wywietrzały mu z głowy. Wezwałem przewodnika, podziękowałem mu za przysługę i kazałem Sawieliczowi dać mu pół rubla na wódkę. Sawielicz nachmurzył się.

– Pół rubla na wódkę! – powiedział. – Za co? Za to, że pan raczył podwieźć go do zajazdu? Wola twoja, panie, nie mam zbywających pieniędzy. Daj każdemu na wódkę, sam przymrzesz głodem.

Nie mogłem sprzeczać się z Sawieliczem. Pieniądze, zgodnie z moją obietnicą, były w zupełnym jego rozporządzeniu. Gniewało mnie jednak, że nie mogę odwdziżyć się człowiekowi, który uratował mnie jeśli nie od nieszczęścia, to przynajmniej od wielkiej nieprzyjemności.

– Dobrze – rzekłem zimno – skoro nie chcesz dać pół rubla, to wydobądź co z mojego ubrania. Przewodnik jest zbyt lekko odziany. Daj mu mój kubrak zajęczy.

—Zmiłujże się, dobrodzieju, Piotrze Andrieiczu! – rzekł Sawielicz. – A po cóż mu twój kubrak zajęczy? Przepije go, pies, w pierwszym z brzegu szynku.

– Niech cię o to głowa nie boli, staruszkule – rzekł mój włóczęga – przepiję czy nie. Jego wielmożność futro z własnego grzbietu daje mi łaskawie, bo taka jego pańska wola, a twoje chłopskie prawo słuchać i nie opierać się.

– Boga nie, boisz się, zbójku! – odparł Sawielicz głosem gniewnym. – Widzisz, że dziecko

nie rozumie jeszcze, i rad jesteś obrać je dla jego prostoty. Na cóż ci kubraczek pański? Nie wciągniesz go nawet na swe pleczyska przekłete.

– Proszę nie mędrkować – powiedziałem do mojego opiekuna – przynieść mi tu natychmiast mój kubrak.

– Panie święty! – zajęczał mój Sawielicz.– Kubrak zajęczy, nowiuteńki prawie! I choćby komu dobremu, a to obdartus i pijanica!

Kubrak wszelako zjawił się. Chłopek jął go od razu przymierzać. Kubrak, z którego i ja już wyrosłem, był istotnie nieco ciasny. Włóczęga jednak jakoś się zmądrzył i odział weń, rozpruwszy go na szwach. Omal nie zawył Sawielicz słysząc, jak nitki trzeszczą. Włóczęga był nadzwyczaj zadowolony z mego podarunku. Odprowadził mnie do kubitki i rzekł, nisko kłaniając się:

– Dziękuję, wasza wielmożność! Niech Bóg nagrodzi cię za twoją dobroć. Do końca życia nie zapomnę łaski pańskiej.

Poszedł swoją drogą, ja zaś udałem się w dalszą podróż nie zwracając uwagi na Sawielicza; wprędce też zapomniałem o wczorajszej zamieci, o moim przewodniku i o zajęczym kubraku.

Po przybyciu do Orenburga udałem się wprost do generała. Ujrzałem mężczyznę wysokiego, lecz już zgarbionego ze starości. Długie jego włosy były zupełnie białe. Stary, wytarty mundur przypominał wojownika z czasów Anny Joannowny, mowa zaś mocno trąciła niemieckim akcentem. Wręczyłem mu list ojca. Gdym wspomniał jego nazwisko, spojrział na mnie bystro.

– Poże mój! – rzekł – tawnoż to Andrzej Pietroficz był w tfoim fieku, a teras ot, jakiego ma sucha! Ach, czas, czas! – Rozpieczętował list i jął go czytać półgłosem, czyniąc swe uwagi: – „Szanowny Panie, Andrzeju Karłowiczu, mam nadzieję, że Wasza Ekscelencja...” A to co za ceremonie? Fuj, jak mu nie wstyd. Dyscyplina, rozumie się, pierwsza rzecz, ale czy tak się pisze do starego kamrata?... „...Wasza Ekscelencja nie zapomniała...” hm... „...i kiedy... nieboszczyk feldmarszałek Min... wyprawie... także i... Karolinę...” Ehe, Bruder! więc pamięta jeszcze stare nasze swawole? „Teraz do rzeczy... do pana mojego urwisa...” hm... „trzymać żelazną ręką...” Co to znaczy: żelazną ręką? Widocznie to takie przysłowie. Co znaczy: trzymać żelazną ręką? – powtórzył zwracając się do mnie.

– To znaczy – odpowiedziałem z miną niewiniątka – traktować łaskawie, niezbyt surowo, dawać jak najwięcej wolności, trzymać żelazną ręką.

– Hm... rozumiem... „i nie dawać mu swobody...” nie, widocznie żelazna ręka to co innego... „Przy niniejszym jego paszport...” Gdzież on? A, tak... „zapisać do siemianowskiego...” Dobrze, dobrze, wszystko się zrobi... „Pozwolisz bez ceremonii uściskać cię i... starym towarzyszem i przyjacielem” no, domyślił się nareszcie!... itd. itd. ... No, mój panie – dodał po przeczytaniu listu, odkładając na stronę mój paszport – wszystko się zrobi: przeniesiemy cię w randze oficera do *** pułku i żeby czasu nie tracić, jedź jutro do twierdzy Bielogorskiej, gdzie będziesz pod dowództwem kapitana Mironowa, dobrego i honorowego człowieka. Znajdziesz się tam na prawdziwej służbie, nauczysz się dyscypliny. W Orenburgu nie masz co robić. Nadmiar rozrywek szkodliwy jest dla młodzieńca. A dzisiaj proszę uprzejmie do mnie na obiad.

„Coraz gorzej! – myślałem – na cóż mi się zdało, że jeszcze prawie w łonie matki byłem sierżantem gwardii! Do czego mnie to doprowadziło? Do *** pułku i do zapadłej forteczki na granicy stepów kirgiz-kajsackich!” Zjadłem obiad u Andrzeja Karłowicza we trójkę ze starym jego adiutantem. Surowa niemiecka oszczędność panowała przy jego stole i sądzę, że obawa zbyt częstego widywania zbytelnego gościa u stołu bezzennego gospodarza była po części przyczyną pośpiesznej wysyłki do garnizonu. Nazajutrz pożegnałem generała i udałem się na wyznaczone mi miejsce.

Rozdział trzeci

Twierdza

*W fortalicji sobie żyjem
Chlebek jemy, wodę pijem,
A gdy przyjdą do nas wrogi
W odwiedzin, na pierogi,
Sprawim ucztę im bogatą:
Przywitamy ich armatą.*

Pieśń żołnierska

*Staroświeccy ludzie, dobrodzieju
Niedorostek*

Twierdza Biełogorska znajdowała się w odległości czterdziestu wiorst od Orenburga. Droga biegła urwistym brzegiem Jaiku. Rzeka nie zamarzła jeszcze i ołowiane jej fale pokryte białym śniegiem smutnie czerniały w oprawie jednostajnych brzegów. Dalej rozścielały się stopy kirgiskie. Zatopiłem się w gorzkich przeważnie rozmyślaniach. Życie garnizonowe niewiele miało dla mnie powabu. Starłem się wyobrazić sobie mego przyszłego zwierzchnika, kapitana Mironowa, i widziałem go jako surowego, gniewnego starca, nie interesującego się niczym prócz swojej służby i gotowego za lada bagatelkę zamykać mnie do aresztu o chlebie i wodzie. Tymczasem zaczęło się zmierzchać. Jechaliśmy dość szybko.

– Czy daleko do twierdzy – spytałem woźnicę.

– Niedaleko – odparł – ot; już widać. Rozglądałem się dokoła, sądząc, że ujrzę groźne bastiony, baszty i wały, lecz nic nie widziałem z wyjątkiem wioski, otoczonej drewnianym płotem. Z jednej strony widniały trzy lub cztery stogi siana, na poły zawiane śniegiem, z drugiej – pochylony wiatrak z leniwie opuszczonymi skrzydłami.

– A gdzież twierdza? – spytałem zdziwiony.

– A tutaj – odparł woźnica wskazując wieś i w tej chwili wjechaliśmy do niej.

We wrotach ujrzałem starą armatę spiżową, dalej ulice krzywe i ciasne, chaty niskie i przeważnie kryte słomą. Kazałem jechać do komendanta i po chwili kibitka zatrzymała się przed drewnianym domkiem, stojącym na wzniesieniu w pobliżu drewnianej również cerkwi.

Nikt nie wyszedł mi na spotkanie. Wszedłem do sieni i otworłem drzwi do przedpokoju. Stary inwalida, siedząc na stole, naszywał niebieską łatę na łokieć zielonego munduru. Poleciałem, by mnie zameldował.

– Wejdz, dobrodzieju – odparł inwalida – nasi w domu.

Wszedłem do czyściutkiego pokoiku umeblowanego po staroświecku. W kącie stała szafa z naczyniami; na ścianie wisiał dyplom oficerski w ramce i za szkłem; obok jaśniały obrazki jarmarczne, przedstawiające wzięcie Kistrzyna i Oczakowa, a również wybór narzeczonej i pogrzeb kota. Pod oknem siedziała staruszka w ciepłym kabaciku i chustce na głowie. Rozmotywała nici, które, rozłożywszy ręce, trzymał jednooki staruszek w oficerskim mundurze.

– Czego sobie życzysz, kochasiu? – spytała nie przerywając swego zajęcia.

Odpowiedziałem, że przyjechałem na służbę i jak obowiązek każe, przyszedłem przedstawić się panu kapitanowi; z tymi słowami zwróciłem się do jednookiego staruszka, biorąc go za komendanta; lecz gospodyni przerwała mi wyuczoną orację.

– Iwana Kuźmicza nie ma w domu – powiedziała – poszedł z wizytą do ojca Gierasima; ale wszystko jedno, dobrodzieju, jestem jego żoną. Proszę uprzejmie bez ceremonii. Siądźże, dobrodzieju.

Przywołała dziewczynę i kazała jej wezwać podoficera. Staruszek ciekawie spoglądał na mnie jedynym swym okiem.

– Ośmielę się spytać – rzekł – w jakim pułku pan raczył służyć? Zaspokoilem jego ciekawość.

– A ośmielę się zapytać – ciągnął – dlaczego to raczył pan przenieść się z gwardii do garnizonu? Odparłem, że taka była wola zwierzchności.

– Widocznie za uczynki, które nie przystoją oficerowi gwardii... – ciągnął dalej niezmordowany rozpytywacz.

– Dość gadaniny, głupstwo – odezwała się kapitanowa – widzisz, że młodzieniec zmęczony podróżą; nie w głowie mu rozmowa... Trzymajże ręce prosto... A ty, dobrodzieju – mówiła zwracając się do mnie – nie martw się, że cię zagnali do naszego partykularza. Nie pierwszy jesteś i nie ostatni. Pocierpisz, przywykniesz. Szwabrin, Aleksy Iwanowicz – ot, już piąty rok, jak przeniesiony został do nas za zabójstwo. Bóg wie, jakie lichy go opętało: pojechał ci on, widzisz, za miasto z jednym porucznikiem, a wzięli ze sobą szpady, no i zaczęli żgać jeden drugiego; Aleksy Iwanycz zakłuł porucznika i to jeszcze przy dwóch świadkach! Cóż chcesz? Do grzechu każdy majster!

W tej chwili wszedł podoficer, młody i postawny Kozak.

– Maksimycz! – rzekła doń kapitanowa. – Wyznacz kwatere panu oficerowi, byle porządną.

– Słucham, Wasiliso Jegorowno – odparł podoficer. – Może umieścić jego wielmożność u Iwana Poleżajewa?

– Bajesz, Maksimycz – rzekła kapitanowa – u Poleżajewa i tak ciasnota; on przecie jest moim kumem i pamięta, że jesteśmy jego władzą. Zaprowadź pana oficera... jak pańskie imię i imię rodzica pańskiego, dobrodzieju?

– Piotr Andrieicz.

– Zaprowadź Piotra Andrieicza do Siemiona Kuzowa. Ten łotr wpuścił konia do mojego sadu. No i cóż, Maksimycz, czy wszystko w porządku?

– Wszystko, chwała Bogu, spokojnie – odrzekł Kozak – tylko kapral Prochorow pobił się w łaźni z Ustinią Niegulin o szaflik gorącej wody.

– Iwanie Ignaticzu – zwróciła się kapitanowa do jednookiego staruszka. – Rozsądź Prochorowa z Ustinią; kto ma słuszość, kto winien. I ukarz oboje. No, Maksimycz, idź sobie z Bogiem. Piotrze Andrieiczu, Maksimycz zaprowadzi pana na kwatere.

Pożegnałem się. Podoficer zaprowadził mnie do chaty stojącej na wysokim brzegu rzeki, na samym końcu twierdzy. Pół chaty zajmowała rodzina Siemiona Kuzowa, drugą połowę zająłem ja. Mieszkanie składało się z jednego pokoju, rozdzielonego przepierzeniem. Sawielicz zabrał się do porządków; ja – zacząłem wyglądać przez wąziutkie okienko. Przede mną ścielił się smutny step. Opodal stało kilka chat; po ulicy łąziło kilka kur. Staruszka,

stojąc z korytem na ganku, zwoływała świnię, które odpowiadały jej przyjaznym chrząkaniem. I oto w jakim miejscu sądzone mi było spędzić młodość! Smutek mnie ogarniał; odszedłem od okienka i położyłem się spać bez wieczerzy, mimo namów Sawielicza, który powtarzał z wyrzutem: „Panie święty! Nic nie chce jeść. Co pani powie, gdy dziecko zachoruje?”

Nazajutrz rano, skorom tylko zaczął się ubierać, drzwi otwały się i wszedł do mnie młody oficer niewysokiego wzrostu, o smagłej, wyjątkowo nieładnej, lecz nader ożywionej twarzy.

– Proszę mi wybaczyć – odezwał się po francusku – że tak bez ceremonii przyszedłem zawrzeć z panem znajomość. Dowiedziałem się wczoraj o pańskim przyjeździe; pragnienie ujżenia nareszcie ludzkiego oblicza tak mnie opanowało, że nie mogłem dłużej zwlekać. Zrozumie to pan, gdy pobędzie tu czas niejaki.

Domyśliłem się, że to ów oficer usunięty z gwardii za pojedynek. Zaznajomiliśmy się natychmiast. Szwabrin był wcale niegłupi. Rozmowa z nim była dowcipna i zajmująca. Z humorem opisał mi rodzinę komendanta, jego otoczenie i miejscowość, do której rzuciły mnie losy. Śmiałem się z całego serca, gdy wszedł inwalida, który łątał mundur w przedsiönku, i zaprosił mnie na obiad w imieniu Wasilisy Jegorowny. Szwabrin oświadczył, że będzie mi towarzyszył.

Gdyśmy podchodzili do domu komendanta, ujrzelismy na placu ze dwudziestu starszków inwalidów z długimi harcapami i w trójgraniastych kapeluszach. Stali szeregiem. Na przodzie stał komendant, dziarski starzec wysokiego wzrostu w szlafmicy i chińskim szlafroku. Ujrzawszy nas, podszedł ku nam, powiedział kilka łaskawych słów i znów począł komenderować. Zatrzymaliśmy się, by popatrzeć na musztrę, lecz komendant prosił, byśmy szli do Wasilisy Jegorowny, obiecując przyjść niebawem. „A tu – dodał – nie ma na co patrzeć”.

Wasilisa Jegorowna przyjęła nas po prostu, serdecznie i zwróciła się do mnie, jakbyśmy się znali od wieków. Inwalida i Pałaszka nakrywali do stołu.

– Cóż to mój Iwan Kuźmicz tak się dziś zapracowuje! – rzekła pani komendantowa. – Pałaszka, proś pana na obiad. A gdzież to Masza?

W tej chwili weszła dziewczyna lat osiemnastu, okrągłolica, rumiana, z jasnobłond włosami zaczesanymi za uszy, które płonęły. Na pierwszy rzut oka niezbyt mi się podobała. Z uprzedzeniem patrzyłem na nią. Szwabrin odmalował przede mną Maszę, córkę kapitana, jako zupełną gąskę. Maria Iwanowna usiadła w kąciiku i zaczęła wyszywać. Podano tymczasem kapuśniak. Nie widząc męża, Wasilisa Jegorowna znów posłała Pałaszkę.

– Powiedz panu, goście przecie czekają, kapuśniak stygnie: musztra, chwała Bogu, nie ucieknie; zdąży jeszcze się wykrzyzczyć.

Zjawił się nareszcie kapitan w towarzystwie jednookiego starszka.

– Cóż to, dobrodzieju – powiedziała żona – obiad od dawna na stole, a ciebie doprosić się nie można.

– A wiedz, mateczko – odparł Iwan Kuźmicz – służbą byłem zajęty: żołnierzyków uczyłem.

– Eh, bajki – zaprzeczyła kapitanowa. – Gadanie tylko, że uczysz żołnierzy: ani im służba w głowie, ani ty nie rozumiesz się na niej. Siedziałbyś w domu i modlił się, lepiej by było. Kochani goście, prosimy do stołu.

Zajęliśmy miejsca. Komendantowa nie zamykała ust ani na chwilę i zasypywała mnie pytaniami: kim są moi rodzice, czy żyją, gdzie mieszkają, jaki posiadają majątek. Dowiedziawszy się, że ojciec ma trzysta dusz, powiedziała:

– No, no, są jednak na świecie ludzie bogaci! A my, dobrodzieju, jedną tylko mamy dziewczkę, Pałaszkę, a jednak, chwała Bogu, żyjemy jakoś. Jedno tylko strapienie: Masza – panna na wydaniu, a jakież ma posag? Gęsty grzebień, miotła, trojak w kieszeni (Boże odpuść!), tyle, ile trzeba, by pójść do łaźni! Dobrze, jeśli Bóg zdarzy dobrego człowieka, a

nie, to siedź przez wieki wieczne w staropanieństwie.

Spojrzałem na Marię Iwanownę. Spłonęła cała i nawet łza kapnęła na jej talerz. Żal mi się jej zrobiło i śpiesznie zmieniłem temat rozmowy.

– Słyszałem – rzekłem dość nie w porę – że na twierdzę naszą mają zamiar napaść Baszkirzy.

– Od kogo, dobrodziej, raczyłeś to słyszeć? – spytał Iwan Kuźmicz.

– Mówiono mi to w Orenburgu – odparłem.

– Bzdury! – rzekł komendant. – Od dawna już u nas nic nie słychać. Baszkirzy – lud strachliwy, a i Kirgizi dostali nauczki. Nie ma strachu, nie porwą się na nas; a gdyby się ośmielili, tak im nasolę, że na lat dziesięć uspokoję.

– I pani nie boi się – mówiłem dalej, zwracając się do kapitanowej – siedzieć w twierdzy na tyle narażonej niebezpieczeństw?

– Przyzwyczajenie, dobrodzieju – odparła. – Lat temu dwadzieścia, gdy nas tu z pułku przenieśli, bałam się tych pogan przeklętych, że nie daj Boże! Gdy ujrzę, bywało, rysie czapki, gdy jeszcze usłyszę wycie, aż serce zamiera, wierz mi, dobrodzieju! A teraz takem przywykła, że z miejsca się nie ruszę, gdy mi kto przyjdzie powiedzieć, że zbóje koło twierdzy myszkują.

– Wasilisa Jegorowna to dama nader odważna – zauważył z powagą Szwabrin. – Iwan Kuźmicz może zaświadczyć o tym.

– Tak, słusznie – rzekł Iwan Kuźmicz – baba, jakich mało.

– A Maria Iwanowna? – spytałem. – Czy równie odważna jak pani?

– Czy Masza odważna? – odparła kapitanowa. – Nie, z Maszy tchórz. Dotychczas nie znosi strzałów: aż się cała trzęsie. A gdy lat temu dwa zachciało się Iwanowi Kuźmiczowi walić z armaty na moje imieniny, omal nie umarła ze strachu, gołąbeczka moja. Odtąd nie strzelamy już z przeklętej armaty.

Wstaliśmy od stołu. Kapitan i kapitanowa udali się na poobiednią drzemkę; ja poszedłem do Szwabrina i spędziłem z nim cały wieczór.

Rozdział czwarty

Pojedynek

*– Więc, jeśli łaska, idź i stań tam w pozyturę.
Zobaczysz, jak przekłuję mizerną twą figurę.*
Kniaźnin

Minęło kilka tygodni i życie w twierdzy Biełogorskiej stało się dla mnie nie tylko znośne, lecz nawet przyjemne. W domu komendanta przyjęto mnie jak swojego. Mąż i żona byli ludźmi nader szanownymi. Iwan Kuźmicz, który dosłużył się rangi oficerskiej od prostego żołnierza, był człowiekiem niewykształconym, lecz bardzo uczciwym i dobrym. Żona rządziła nim, co zgadzało się z jego ospałym nieco charakterem. Na sprawy urzędowe Wasilisa Jegorowna zapatrywała się jak na swoje gospodarskie i rządziła twierdzą jak własnym domem. Maria Iwanowna przestała wkrótce ode mnie stronić. Zaznajomiliśmy się z, sobą. Znalazłem w niej uczuciową i rozsądną dziewczeczkę. Stopniowo przywiązałem się do tych dobrych ludzi, nawet do Iwana, Ignaticza, jednookiego porucznika garnizonowego, o którym Szwabrin mówił, że żyje w grzesznym związku z Wasilisą Jegorowną, w czym nie było ani cienia prawdy. Lecz o to Szwabrin nie dbał.

Awansowano mnie na oficera. Służba niezbyt mi ciążyła. W pozostawionej na boskiej opiece twierdzy nie znano ani przeglądów, ani musztr, ani szyldwachów. Komendant z własnej ochoty uczył czasem żołnierzy, lecz nie mógł sprawić, ażeby wszyscy wiedzieli, która strona prawa, która lewa, choć wielu z nich przed każdym zwrotem dla uniknięcia pomyłki zęgnęło się znakiem krzyża. Szwabrin miał kilka francuskich książek. Wziąłem się do czytania i zbudziło się we mnie zamiłowanie do literatury. Rankiem czytałem, ćwiczyłem się w tłumaczeniu, a czasem nawet w tworzeniu wierszy, obiad prawie zawsze jadłem u komendanta, gdzie zazwyczaj pozostawałem już do końca dnia; wieczorem wstępował tam czasem ojciec Gierasim z żoną Akuliną Pamfilówną, pierwszą w okolicy nowiniarką. Z Aleksym Iwanyczem Szwabrinem widywałem się, naturalnie, co dzień, lecz rozmowa z nim z każdym dniem sprawiała mi coraz mniej przyjemności. Ciągłe żarty, jakie stroił z rodziny komendanta, bardzo mi się nie podobały, zwłaszcza uszczypliwe uwagi o Marii Iwanownie. Innego towarzystwa nie było w twierdzy, lecz i ja go wcale nie pragnąłem.

Pomimo przepowiedni, Baszkirzy się nie zbuntowali. Spokój panował wokół naszej twierdzy.

Lecz spokój ten przerwany został przez nagły zatarg wewnętrzny.

Mówiłem już, że zajmowałem się literaturą. Jak na ówczesne czasy, moje próbki należały do niezgorszych i kilka lat później Aleksander Pietrowicz Sumarokow bardzo je chwalił. Udało mi się raz napisać piosenkę, z której byłem zadowolony. Wiadomo, że autorowie lubią

czasem pod pozorem prośby o radę zabiegać o życzliwego słuchacza. Tak więc, przepisawszy moją piosenkę, zaniósłem ją do Szwabrina, ponieważ tylko on w całej twierdzy mógł ocenić utwór rymopisa. Po krótkim przedśłowiu wyjąłem z kieszeni kajecik i przeczytałem mu te moje wierszyki:

Gdy mnie afekt dręczy srogi,
Co wciąż w sercu moim gości,
Pragnę, Maszo, zejść ci z drogi,
I o dawnej śnię wolności.

To twych oczu urok miły
Na uwięzi duszę trzyma,
One spokój mój zmaciły:
Zwyciężyłaś mnie oczyma!

Więc gdy serce jadem strute
Żar miłosnej trawi męki
Użał się mej doli lutej:
Zraniły mnie twoje wdzięki!

– Jakże ci się podoba? – spytałem Szwabrina oczekując pochwał, jako słusznie należnej mi daniny. Lecz ku wielkiemu mojemu niezadowoleniu Szwabrin, bardzo zwykle wyrozumiały, orzekł stanowczo, że piosenka moja jest zła.

– Dlaczegoż to? – spytałem hamując irytację.

– Ponieważ – odparł – wiersze takie godne są mojego nauczyciela Wasilia Kiryłłowicza Trediakowskiego i bardzo przypominają jego miłosne kuplety.

I wziąwszy ode mnie kajet, począł bez miłosierdzia nicować każdy wiersz, każde słowo, znęcając się nade mną najokrutniej. Straciłem cierpliwość, wyrwałem kajet i zapowiedziałem, że nigdy już nie pokażę mu moich utworów. Szwabrin i na tę pogroźkę odpowiedział śmiechem.

– Zobaczmy – rzekł – czy dotrzymasz słowa: rymopis nie obejdzie się bez słuchacza, jak Iwan Kuźmicz bez karafeczki wódki przed obiadem. Lecz któż to ta Masza, przed którą spowiadasz się z tkliwej namiętności i miłosnych katuszy? Czy to czasem nie Maria Iwanowna.

– Nie twoja rzecz – odparłem nachmurzony

– która to Masza. Niepotrzebne mi ani twoje zdanie, ani twoje domysły.

– Oho, pewny siebie rymopis i skromny kochanek! – ciągnął Szwabrin drażniąc mnie coraz bardziej. – Lecz posłuchaj rady przyjaciela: jeśli chcesz osiągnąć cel, radzę działać nie za pomocą piosenki.

– Co to znaczy, mój panie! Racz mi wyjaśnić.

– Chętnie. Jeśli chcesz, by Maria Iwanowna odwiedzała cię o zmierzchu, podaruj jej zamiast tkliwych wierszy parę kolczyków.

Krew zagrała we mnie.

– A na czym to opierasz taką o niej opinię?

– spytałem, z wysiłkiem hamując oburzenie.

– A na tym – odparł z szatańskim uśmiechem – że z doświadczenia znam jej zwyczaje i obyczaje.

– Łżesz, łotrze! – krzyknąłem rozwścieczony

– łżesz bezwstydnie! Szwabrin zmienił się na twarzy.

– To ci tak nie ujdzie na sucho – powiedział chwyciwszy mnie za ramię. – Żądam satysfakcji.

– Proszę, kiedy chcesz! – odparłem uradowany.

W tej chwili gotów byłem go rozszarpać. Udałem się natychmiast do Iwana Ignaticza i zastałem go z igłą w ręku; z poruczenia komendantowej nizał na nitkę grzyby do suszenia na zimę.

– A, Piotr Andrieicz! – zawołał ujrzawszy mnie. – Witam! Co pana tu sprowadza? Jaka sprawa, śmiem spytać.

W krótkich słowach wyjaśniłem mu, że pokłóciłem się z Aleksym Iwanyczem, jego zaś, Iwana Ignaticza, proszę na sekundanta. Iwan Ignaticz słuchał mnie uważnie, wytrzeszczając swoje jedno oko.

– Chce pan powiedzieć – rzekł – że pragnie pan zakłuć Aleksego Iwanycza i życzy sobie, bym ja był świadkiem? Czy tak, śmiem spytać.

– Tak, istotnie.

– Zmiłuj się, Piotrze Andrieiczu! Cóż to pan przedsięwziął! Wielka rzecz! Kłótnia – to mucha. Obraził pana – niech go pan zwymyśla; on pana w pysk, a pan go w ucho, raz i drugi – i każdy w swoją drogę; a my już was pogodzimy. Bo czy to godna rzecz zakłuć bliźniego swego, ośmielę się zapytać. I gdybyż to pan go zakłuł. – Bóg z nim; ja również nie gamę się do niego. No, a jeśli on pana przedziurawi? Do czegoż to będzie podobne? Kto wyjdzie na głupca, śmiem zapytać.

Wywody roztropnego porucznika nie przekonały mnie. Trwałem w moim zamiarze.

– Jak pan sobie życzy – rzekł Iwan Ignaticz – czyń pan, jak chcesz. Lecz po cóż mnie brać na świadka? Z jakiej racji? Ludzie wodzą się za łby, cóż za dziwo, śmiem spytać. Chodziłem, chwala Bogu, i na Szweda, i na Turka: napatrzyłem się wszystkiego.

Jałem piąte przez dziesiąte wyklądać mu o obowiązkach sekundanta, lecz Iwan Ignaticz ani rusz nie mógł mnie zrozumieć.

– Jak pan chce – rzekł – jeśli już ja mam wtrącać się do tej sprawy, to chyba powinienem pójść do Iwana Kuźmicza i z obowiązku służbowego zawiadomić go, że w twierdzy szykuje się zabójstwo, szkodliwe dla interesów rządu; czy nie raczy pan komendant zastosować odpowiednich środków zapobiegawczych?

Zląkłem się i zacząłem prosić Iwana Ignaticza, żeby nic nie mówił komendantowi; z trudem ubłagałem go: dał mi słowo i rozstałem się z nim.

Wieczór spędziłem zwykłym trybem u komendanta. Starałem się być wesołym i obojętnym, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń i uniknąć drażliwych pytań; lecz – przyznam się – nie miałem tej zimnej krwi, którą chwałą się zazwyczaj ci, co się znajdują w mojej sytuacji. Tego wieczoru nastrojony byłem tkliwie i serdecznie. Maria Iwanowna podobała mi się bardziej niż zwykle. Myśl, że widzę ją może po raz ostatni, dodawała jej w moich oczach tkliwego uroku. Szwabrin zjawił się również. Odciągnąłem go na stronę i zawiadomiłem o mojej rozmowie z Iwanem Ignaticzem. „Po cóż nam sekundanci? – powiedział sucho – obejdziemy się bez nich”. Umówiliśmy się, że spotkanie nastąpi za stogami znajdującymi się w pobliżu twierdzy i że stawimy się tam nazajutrz o siódmej rano. Rozmawialiśmy pozornie tak po przyjacielsku, że Iwan Ignaticz wygadał się z radości.

– Trzeba było tak od razu – rzekł do mnie z miną zadowoloną – lepszy słomiany pokój niż złota wojna, a choć niehonorowo, lecz zdrowo.

– Co, co. Iwanie Ignaticzu? – rzekła komendantowa, zajęta w kąciku stawianiem kabały – nie dosłyszałam.

Zauważywszy u mnie oznaki niezadowolenia i przypomniawszy sobie daną obietnicę. Iwan Ignaticz zmieszał się i nie wiedział, co odpowiedzieć. Szwabrin wyręczył go.

– Iwan Ignaticz – rzekł – pochwała naszą zgodę.

– Aż kim to się pogniewałeś, dobrodzieju?

– Posprzeczialiśmy się dość gwałtownie z Piotrem Andrieiczem.

– O cóż to?

- O zwykłą bzdurę: o piosenkę.
- Mielście się też o co sprzeczać! O piosenkę... Jak też to było?
- A tak: Piotr Andrieicz ułożył niedawno piosenkę i dziś zaśpiewał ją u mnie, a ja z kolei zanuciłem swoją ulubioną:

Córko kapitana, oto głos mój szczery:
Źle jest chodzić nocą samej na spacer.

Stąd awantura. Piotr Andrieicz rozzłościł się na razie, lecz uznał potem, że każdemu wolno śpiewać, co mu się podoba. Na tym się rzecz, skończyła.

Bezwstyd Szwabrina oburzył mnie, lecz nikt poza mną nie zrozumiał jego ordynarnej aluzji; nikt w każdym razie nie zwrócił na nią uwagi. Od piosenek rozmowa zesłała na rymopisów i komendant zauważył, że wszyscy są ludźmi bez piątej klepki i piją na umór, i po przyjacielsku radził mi porzucić rymy, jako rzecz przeciwną dobru służby i nie prowadzącą do niczego rozsądnego.

Obecność Szwabrina była dla mnie nieznośna. Wprędce pożegnałem się z komendantem i jego rodziną i po powrocie do domu opatrzyłem swą szpadę, wypróbowałem ostrze, po czym położyłem się spać, nakazując Sawieliczowi zbudzić mnie przed siódmą.

Nazajutrz w oznaczonym czasie stałem już za stogami, oczekując mojego przeciwnika. Wkrótce stawił się i on. „Mogą nas tu podpatrzeć – rzekł – trzeba się spieszyć”. Zdjęliśmy mundury i pozostawiliśmy tylko w kamizelkach, obnażyliśmy szpady. W tej chwili spoza stogów ukazał się Iwan Ignaticz na czele pięciu inwalidów. Wezwał nas do komendanta. Jakkolwiek zirytowani, byliśmy posłuszni; żołnierze otoczyli nas i ruszyliśmy za Iwanem Ignaticzem, który wiódł nas triumfalnie z zadziwiającą powagą.

Weszliśmy do domu komendanta. Iwan Ignaticz otworzył drzwi oznajmiając uroczyście:

„Przyprowadziłem!” Spotkała nas Wasilisa Jegorowna. „Ach, dobrodzieje moi! Do czego to podobne? Jak? Co? W naszej twierdzy zabójstwo! Iwanie Kuźmiczu! Natychmiast do aresztu ich! Piotrze Andrieiczu! Aleksy Iwanyczu! Dajcie no tu swoje szpady, dajcie, dajcie. Pałaszka, zanieś te szpady do komórki. Piotrze Andrieiczu! Nie spodziewałam się tego po tobie. Jak ci nie wstyd? Mniejsza o Aleksego Iwanycza: on za zabójstwo wydalony był z gwardii, a i w Pana Boga nie wierzy; lecz ty? Chcesz iść jego drogą?”

Iwan Kuźmicz w zupełności zgadzał się ze swą małżonką, dogadując: „Słusznie, Wasilisa Jegorowna prawdę mówi. Regulamin wojskowy formalnie zakazuje pojedynków”. Pałaszka tymczasem wzięła nasze szpady i zaniósła je do komórki. Nie mogłem nie roześmiać się. Szwabrin zachował powagę. „Pomimo całego szacunku, jaki żywię dla pani – rzekł zimno do komendantowej – nie mogę nie zauważyć, że próżno trzudzi się pani, sądząc nas. Proszę to pozostawić Iwanowi Kuźmiczowi: to jego sprawa”. „Ach, dobrodzieju – zaprzeczyła komendantowa – zali mąż i żona to nie jedno ciało i duch jeden? Iwanie Kuźmiczu, czego się gapisz? Natychmiast posadź ich o chlebie i wodzie w różnych kątach, aby głupstwa wywietrzały im z głowy; i niech ojciec Gierasim nałoży na nich pokutę, żeby prosili Boga o przebaczenie i kajali się przed ludźmi”.

Iwan Kuźmicz nie wiedział, na co ma się zdecydować. Maria Iwanowna była blada jak opłatek. Pomału burza ucichła: komendantowa udobruchała się i zmusiła nas, byśmy ucałowali się wzajemnie. Pałaszka przyniosła szpady z powrotem. Wyszliśmy od komendanta, pogodzeni na pozór. Iwan Ignaticz towarzyszył nam. „Jak panu nie wstyd – rzekłem doń gniewnie – donosić komendantowi, gdy dał mi pan słowo tego nie czynić?”

„Klnę się na Boga, nic nie mówiłem komendantowi – odparł. – Wasilisa Jegorowna wyciągnęła wszystko ze mnie. I ona to zarządziła wszystko bez wiedzy męża. Chwała Bogu zresztą, że się na tym skończyło”. Z tymi słowami zawrócił do domu. Szwabrin i ja pozostaliśmy sam na sam. „Sprawa nasza nie może tak się skończyć” – rzekłem doń.

„Rozumie się – odparł Szwabrin – zapłaci pan krwią za swoje zuchwalstwo; lecz zapewne będą nas śledzić. Przez kilka dni musimy udawać. Do widzenia!” I rozstaliśmy się jak gdyby nigdy nic.

Po powrocie do komendanta przysiadłem się do Marii Iwanowny. Iwana Kuźmicza nie było w domu. Wasilisa Jegorowna zajęta była gospodarstwem. Rozmawialiśmy półgłosem. Maria Iwanowna robiła mi delikatne wyrzuty za niepokój, jakiego doznali wszyscy z powodu mojej kłótni ze Szwabrinem.

– Aż zamarłam ze strachu – rzekła – gdy nam powiedziano, że macie zamiar bić się na szpady! Jacyście wy, mężczyźni, dziwni! O jedno jedyne słówko, o którym po tygodniu zapomnieliby, gotowi są rznąć się i stawiać na kartę nie tylko życie, lecz i sumienie, i szczęście tych, którzy... Lecz jestem pewna, że nie pan wywołał zajście. Winien jest na pewno Aleksy Iwanowicz.

– A dlaczego tak pani myśli, Mario Iwanowno?

– Tak jakoś, z niego taki wyśmiewca! Nie lubię Aleksego Iwanycza. Mam wstręt do niego, lecz, dziwna rzecz, za nic nie chciałabym, żebym i ja mu się nie podobała. Strasznie by mnie to niepokoiło.

– A jak pani sądzi: podoba mu się pani czy nie?

Maria Iwanowna zmieniła się i zaczerwieniła.

– Zdaje mi się... – rzekła – sądzę, że podobam mu się.

– Z czego pani to wnosi?

– Ponieważ starał się o mnie.

– Starał się! On starał się o panią? Kiedyż to?

– W zeszłym roku, na dwa miesiące przed przyjazdem pana.

– I odmówiła mu pani?

– Jak pan raczy widzieć. Aleksy Iwanycz jest bez wątpienia rozumnym człowiekiem i z dobrej pochodzi rodziny; jest przy tym majątny, lecz gdy pomyślę, że przy ślubie trzeba pocałować go przy wszystkich... za nic w świecie! Za żadne skarby!

Słowa Marii Iwanowny otwały mi oczy i wiele spraw wyjaśniły. Zrozumiałem uporczywą złośliwość, z jaką mścił się na niej Szwabrin. Zauważył on zapewne naszą wzajemną skłonność i starał się oderwać nas od siebie. Słowa, które stały się przyczyną naszej kłótni, wydały mi się jeszcze bardziej haniebne, gdy zamiast brutalnego, nieprzystojnego żartu spostrzegłem w nich zamierzone oszczerstwo. Chęć ukarania zuchwałego oszczercy wzmogła się we mnie i z niecierpliwością wyczekiwałem odpowiedniej sposobności.

Czekałem niedługo. Nazajutrz, gdy siedziałem nad elegią i gryzłem pióro w pogoni za rymem, Szwabrin zapukał do mego okienka. Odłożyłem pióro, wziąłem szpadę i wyszedłem. „Po cóż odkładać? – rzekł – nie pilnują nas. Zejdziemy ku rzece. Tam nikt nam nie przeszkodzi”. Ruszyliśmy milcząco. Zeszedłszy urwistą ścieżką, zatrzymaliśmy się tuż nad rzeką i obnażyliśmy szpady. Szwabrin był lepiej wyćwiczony we władaniu bronią, lecz ja górowałem nad nim siłą i śmiałością, zaś Mr. Beaupre, niegdyś żołnierz, udzielił mi kilku lekcji fechtunku, które mi się teraz bardzo przydały. Nie spodziewał się Szwabrin znaleźć we mnie tak niebezpiecznego przeciwnika. Długo żaden, z nas nie mógł zadać ciosu drugiemu; zauważywszy wreszcie, iż Szwabrin słabnie, żywo zacząłem nań następować i przyparłem go niemal do samej rzeczki. Nagle usłyszałem moje imię wykrzyknięte donośnym głosem. Obejrzałem się i ujrzałem biegnącego ku mnie z góry Sawielicza... W tejże chwili kolnęło mnie coś w pierś poniżej prawego ramienia i padłem na ziemię bez przytomności.

Rozdział piąty

Miłość

*Ach, ty dziewczę, dziewczę krasne,
Nie idź, dziewczę, wcześniej za mąż;
 Spytaj, dziewczę, ojca matki,
 Ojca, matki .wszystkich krewnych.
Uciulaj, dziewczę, rozsądku–rozumu.
 Rozsądku–rozumu na posag sobie.*

Pieśń ludowa

*Jeśli znajdziesz lepszego ode mnie – zapomnisz,
Jeśli znajdziesz gorszego ode mnie – to wspomnisz.*

Pieśń ludowa

Gdym się ocknął, nie mogłem przez pewien czas oprzytomnieć i nie rozumiałem, co się ze mną stało. Leżałem na łóżku w nie znanej izbie i czułem wielkie osłabienie. Przedemną stał Sawielicz ze świeczką w ręku. Ktoś troskliwie rozwijał bandaż, opasujące mi pierś i prawe ramię. Stopniowo myśli mi się rozjaśniły. Przypomniałem sobie o pojedynku i domyśliłem się, że jestem ranny. W tej chwili skrzypnęły drzwi.

– No co? Jak tam? – wyszeptał głos, na którego dźwięk zadrzałem.

– Wciąż jednak – odparł z westchnieniem Sawielicz – wciąż bez przytomności, ot, już piąty dzień. Chciałem odwrócić się, lecz nie mogłem.

– Gdzie jestem? Kto tu przy mnie? – rzekłem z wysiłkiem.

Maria Iwanowna podeszła do mojego łóżka i schyliła się nade mną.

– Cóż? Jak pan się czuje?

– Chwała Bogu – odparłem słabym głosem.

– To pani, Mario Iwanowno? Proszę mi powiedzieć... – zbrakło mi sił i zamilkłem.

Sawielicz jęknął. Radość rozjaśniła mu oblicze.

– Oprzytomniał! Oprzytomniał! – powtarzał.

– Chwała ci, Panie! Ach, dobrodzieju Piotrze Andrieiczu, nastraszyłeś mnie nie na żarty! Piąty dzień!...

Maria Iwanowna przerwała mu.

– Nie mów z nim dużo, Sawielicz – rzekła – jest jeszcze słaby.

Wyszła z pokoju i cichutko przymknęła drzwi. Myśli w mej głowie kłębiły się. A więc byłem w domu komendanta, Maria Iwanowna odwiedzała mnie. Chciałem zadać

Sawieliczowi parę pytań, lecz stary potrząsnął głową i zatkał sobie uszy. Zniecierpliwiony, zamknął oczy i wkrótce zapadł w sen.

Po przebudzeniu wezwał Sawielicza, a zamiast niego ujrzałem nad sobą Marię Iwanownę; anielski jej głos przywitał mnie. Nie potrafię wypowiedzieć słodkiego uczucia, które opanowało mnie w tej chwili. Chwyciłem jej rękę i przyłgałem do niej, oblewając ją tkliwymi łzami. Masza nie wyrwała jej... i nagle usteczka jej dotknęły mej twarzy, i poczułem na niej gorący, świeży pocałunek. Ogień przeniknął mnie na wskroś.

– Kochana, dobra Mario Iwanowno – rzekłem – bądź moją żoną! Uszczęśliw mnie! Opamiętała się.

– Na Boga, proszę się uspokoić – powiedziała cofając rękę – niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze, rana może się otworzyć. Niech pan oszczędza się, choćby dla mnie.

Z tymi słowami wyszła pozostawiając mnie upojonego zachwytem. Szczęście wskrzesiło mnie. „Ona będzie moja! Kocha mnie!” Myśl ta wypełniała całą moją istotę.

Od tej chwili czułem się zdrowszy z godziny na godzinę. Leczył mnie cyrulik pułkowy, w twierdzy bowiem nie było innego lekarza i, dzięki Bogu, nie mędrkował zbytnio. Młodość i natura przyspieszyły moje ozdrowienie. Cała rodzina komendanta czuwała nade mną. Maria Iwanowna nie opuszczała mnie. Oczywiście przy pierwszej sposobności ponowiłem moje wyznanie i Maria Iwanowna cierpliwiej już wysłuchiwała moich słów. Bez cienia fałszywego wstydu przyznała się, że żywi do mnie uczucie serdeczne, dodając, że rodzice bez wątpienia radzi będą z jej szczęścia. „Lecz pomyśl dobrze – dodała – czy nie zajdą przeszkody ze strony twoich bliskich”.

Zastanowiłem się. Nie wątpiłem o tkliwości matki, lecz znając charakter i sposób myślenia ojca, czułem, że miłość moja niezbyt go wzruszy. Potraktuje ją jako wybryk młodzieńczy. Powiedziałem to szczerze Marii Iwanownie. Postanowiłem jednak napisać do ojca list jak najwymowniejszy, prosząc o błogosławieństwo. Pokazałem moją pisaninę Marii Iwanownie, która uznała ją za tak przekonującą i wzruszającą, że nie wątpiła o jej dobrym wyniku, i poddawała się uczuciom swego tkliwego serca z całą dobrą wiarą młodości i miłości.

Ze Szwabrinem pogodziłem się już w pierwszych dniach mej rekonwalescencji. Iwan Kuźmicz czyniąc mi wymówki za pojedynek rzekł:

„Eh, Piotrze Andrieiczu! Należałoby cię zamknąć w areszcie, lecz tyś już i bez tego ukarany. Aleksy Iwanowicz siedzi jednak w magazynie zbożowym pod strażą, a szpada jego jest pod kluczem u Wasilisy Jegorowny. Niech tam sobie rozmyśla i kaja się”. Byłem zbyt szczęśliwy, by pielegnować w duszy wrogie uczucie. Jałem wstawiać się za Szwabrinem i dobry komendant za zgodą małżonki zdecydował się go uwolnić. Szwabrin przyszedł do mnie, wyraził głęboki żal z powodu zajścia między nami, przyznał się całkowicie do winy i prosił, by zapomnieć o wszystkim. Pozbawiony zupełnie uczucia zawziętości, szczerze mu wybaczyłem: i kłótnię naszą, i ranę zadaną jego ręką. Oszczerstwo jego tłumaczyłem sobie podrażnioną ambicją oraz odtraconą miłością i wspaniałomyślnie usprawiedliwiłem nieszczęsnego mego rywala.

Wkrótce wyzdrowiałem i mogłem przenieść się do mojej kwatery. Z niecierpliwością czekałem odpowiedzi na mój list, nie śmiąc żywić nadziei i starając się zagłuszyć smutne przeczucia. Z rodzicami mojej przyszłej jeszcze nie mówiłem o tej sprawie, lecz oświadczyły moje nie powinny by ich zdziwić: ani ja, ani Maria Iwanowna nie staraliśmy się ukryć przed nimi swych uczuć i zawniasu byliśmy pewni ich zgody.

Nareszcie pewnego dnia wszedł do mnie Sawielicz z listem w ręku. Wziąłem go z drżeniem. Adres pisany był ręką ojca. Przygotowało to mnie do oczekiwania czegoś ważnego, gdyż zwykle pisywała do mnie matka, ojciec zaś dodawał tylko w przypisku kilka wierszy. Długo nie otwierałem koperty, odczytując uroczysty adres:

„Synowi mojemu Piotrowi Andriejewiczowi Griniowowi, w guberni orenburskiej, w

twierdzy Biełogorskiej”. Z charakteru pisma chciałem wyczuć nastrój piszącego; zdecydowałem się wreszcie otworzyć list i już od pierwszych słów odgadłem, że zamiar mój licho wzięło. Oto, com wyczytał:

„Synu mój, Piotrze! List Twój, w którym prosisz nas o zgodę i błogosławieństwo na ślub z Marią Iwanowną, urodzoną Mironow, otrzymaliśmy 15 bieżącego miesiąca i nie tylko nie mamy zamiaru dawać swej zgody i błogosławieństwa, lecz zamierzamy wziąć się do Ciebie i za wybryki Twoje dać Ci nauczkę jak wyrostkowi, bez względu na oficerską Twoją rangę, albowiem dowiodłeś, żeś jeszcze nie godzien nosić szpady, ponieważ ofiarowano Ci ją dla obrony ojczyzny, nie na pojedynki z takimi, jak Ty sam, urwisami. Natychmiast napiszę do Andrzeja Karłowicza, prosząc, by Cię przeniósł z twierdzy Biełogorskiej gdzieś dalej, żeby Ci obłąd przeszedł. Dowiedziawszy się o pojedynku i ranie Twojej, matka rozchorowała się z żalu i leży obecnie. Co z Ciebie wyrośnie? Błagam Boga, byś poprawił się, choć nie śmiem żywić nadziei w łaskę Jego.

Ojciec Twój A.G.”

List ten wzbudził we mnie różne uczucia. Twarde słowa, których nie skąpił mi ojciec, dotknęły mnie głęboko. Lekceważenie, z jakim wspominał o Marii Iwanownie, wydało mi się tyleż niestosowne, co niesprawiedliwe. Myśl o przeniesieniu z twierdzy Biełogorskiej przerażała mnie, lecz najbardziej zasmuciła mnie wieść o chorobie mateczki. Oburzałem się na Sawielicza, nie wątpiąc, że przez niego rodzice dowiedzieli się o pojedynku. Krocząc po mej ciasnej izdebce zatrzymałem się przed nim i rzekłem groźnie:

– Nie wystarcza ci widocznie, żeś został z winy twojej raniony i cały miesiąc stałem nad grobem. I matkę również chcesz zadrzeć!

Słowa podziały na Sawielicza jak piorun.

– Zmiłuj się, panie – rzekł niemal z łkaniem. – Cóż to raczysz mówić? Jaż to jestem winien, żeś był ranny? Bóg widzi, że biegłem, by cię własną pierśią zasłonić od szpady Aleksego Iwanycza! Starość przekłeta przeszkodziła mi. Alę cóż to ja zrobiłem pańskiej mateczce?

– Co zrobiłeś? – odparłem. – Któż cię prosił, byś pisał donosy? Czy za szpiega jesteś do mnie przydzielony?

– Ja pisałem donosy na ciebie? – ze łzami odrzekł Sawielicz. – Wielki Boże! Czytaj więc, paniczu, co pisze do mnie nasz pan. Zobacz, jak to ja donosiłem.

Wyjął z kieszeni list i przeczytał, co następuje: „Wstydz się, stary psie, że bez względu na surowe nakazy moje nie doniosłeś mi o synu moim, Piotrze Andriejewiczu, i dopiero obcy ludzie zmuszeni są zawiadamiać mnie o jego swawolach. Tak to więc spełniasz obowiązki swoje i wolę pańską? Ja cię, stary psie, pošlę do pasania świń za ukrywanie prawdy i pobłażanie młodemu człowiekowi. Po otrzymaniu niniejszego rozkazuję ci, byś napisał natychmiast, jaki jest stan zdrowia panicza, o czym piszą mi, że poprawił się nieco, oraz w jakie miejsce był ranny i czy go dobrze wyleczono”.

Widoczne było, że Sawielicz był wobec mnie w porządku i że niesłusznie obraziłem go wyrzutami i podejrzeniami.

– Ot, czego się doczekałem – powtarzał – ot, jakich łask dosłużyłem się u moich panów! Jestem starym psem i świniopasem, i przyczyną twojej rany! Nie, paniczu! Nie ja to, lecz przekłety m u s j e winien wszystkiemu: on to nauczył cię żgać żelaznymi rożnami i przytupywać, jakby to można było żganiem i przytupywaniem ustrzec się od złego człowieka! Trzeba też było najmować m u s j e i rzucać w błoto pieniądze!

Lecz któż to trudził się zawiadamianiem ojca o moim sprawowaniu? Generał? Przecież on niezbyt, jak się zdawało, troszczył się o mnie. Iwan Kuźmicz zaś nie uważał za stosowne raportować o moim pojedynku. Gubiłem się w domysłach. Podejrzenia moje padły wreszcie na Szwabrina. On tylko jeden miałby korzyść z donosu, skutkiem którego mogłem być

wydalony z twierdzy i zmuszony do zerwania z rodziną komendanta Poszedłem do Marii Iwanowny, by ją zawiadomić o wszystkim. Spotkała mnie na ganku.

– Cóż to panu się stało? – rzekła na mój widok. – Jaki pan błady!

– Wszystko skończone – odparłem i podałem jej list papy.

Zbladła po przeczytaniu i drżącymi rękami zwróciła mi list mówiąc drżącym głosem:

– Taki widać los... Rodzice pańscy nie chcą przyjąć mnie do rodziny. Bądź wola twoja, Panie! Bóg najlepiej wie, czego nam trzeba. Trudno, Piotrze Andrieiczu, niech choć pan będzie szczęśliwy...

– Przenigdy! – krzyknąłem chwytając ją za rękę – ty mnie kochasz; gotów jestem na wszystko. Chodźmy, rzućmy się do nóg twoim rodzicom; to ludzie prości, nie pyszałki o twardym sercu... Pobłogosławią nas, pobierzemy się, a z czasem, pewien jestem, prześlą nam ojca; mameczka będzie po naszej stronie: on mi przebaczy...

– Nie, Piotrze Andrieiczu – odparła Masza – nie wyjdę za ciebie bez błogosławieństwa twoich rodziców. Bez tego nie będziesz szczęśliwy. Zdajmy się na wolę boską. Gdy znajdziesz tę, która ci przeznaczona, gdy pokochasz inną – Bóg z tobą, Piotrze Andrieiczu; a ja za was oboje...

Rozplakała się i wyszła. Chciałem pójść za nią, lecz czując, że nie zdołam się opanować, powróciłem do domu.

Siedziałem głęboko zadumany, gdy Sawielicz przerwał nagle moje rozmyślenia.

– Ot, panie – rzekł podając mi zapisany arkusz papieru – patrz, czy ja jestem donosicielem i czy staram się pokłócić ojca z synem.

Wziąłem papier z jego rąk: była to odpowiedź Sawielicza na otrzymany list – Oto ona:

„Panie i ojcie nasz miłościwy, Andrzeju Pietrowiczu!

Miłościwe pisanie pańskie, w którym raczysz gniewać się na mnie, raba swojego, że to jakoby wstyd dla mnie nie spełniać rozkazów pańskich, otrzymałem; nie stary pies ze mnie, jeno wierny sługa pański; słucham rozkazów i pilnie Panu zawsze służyłem, i doczekałem się siwych włosów. O ranie Piotra Andrieicza nic nie pisałem, ażeby Pana nie martwić po próżnicy, a jak słyszę, Pani i matka nasza, Awdotia Wasiliewna i bez tego zachorowała ze strachu, i za Jej zdrowie modlić się będę do Pana Boga. Zaś Piotr Andrieicz był raniony pod prawe ramię, w pierś tuż pod obojczykiem, na głębokość półtora werszka, i leżał w domu komendanta, dokąd przenieśliśmy go znad brzegu, a leczył go cyrulik tutejszy Stiepan Paramonow i teraz Piotr Andrieicz zdrowy, chwała Bogu, i nic prócz dobrego nie można o nim napisać. Komendanci, jak słyhać, są z niego zadowoleni i Wasilisa Jegorowna traktuje go jak syna rodzonego. A że taka zdarzyła się okazja, to dlatego, że młody: koń ma cztery nogi, a potknie się. I raczy Pan pisać, że pośle mnie do pasania świń, i to wola waszej wielmożności. Za czym kłaniam się pokornie.

Wierny chłop pański Archip Sawiejew”.

Nie mogłem nie uśmiechnąć się parokrotnie, czytając epistolę pocziwca. Nie byłem w stanie zmusić się do napisania listu do ojca dla uspokojenia zaś matki list Sawielicza wydał mi się wystarczający.

Od tego czasu zmieniała się moja sytuacja. Maria Iwanowna nie mówiła prawie ze mną i wszelkimi sposobami starała się mnie unikać. Dom komendanta stał mi się nudny. Przyzwyczałem się stopniowo do przebywania w domowej samotni. Wasilisa Jegorowna początkowo zrzędziła za to na mnie, lecz widząc mój upór, dała mi wreszcie spokój. Z Iwanem Kuźmiczem widywałem się tylko podczas służby; ze Szwabrinem spotykałem się rzadko i niechętnie, tym więcej, że wyczuwałem w nim ukrytą niechęć do mnie, co jeszcze bardziej wzmagало moje podejrzenia. Życie stało się dla mnie nieznośne. Wpadłem w ponure zamyślenie, któremu samotność i beczynność dostarczały żeru. Miłość rozżarzała się w

samotności i z każdą godziną bardziej mi ciążyła. Straciłem chęć do czytania literatury. Upadłem na duchu. Lękałem się, że dostanę obłądu lub pogrążę się w rozpuście. Niespodziewane wydarzenia, które miały rozstrzygający wpływ na koleje mego życia, wywołały nagle w mojej duszy wstrząs silny a dobroczynny.

Rozdział szósty

Pugaczowszczyzna

*Posłuchajcież wy, młode chłopaki,
Co rzekniemy wam, stare dziadygi.*

Pieśń

Zanim przystąpię do opisu dziwnych wypadków, których byłem świadkiem, winienem powiedzieć kilka słów o stosunkach w guberni orenburskiej w 1773 roku.

Obszerna ta i bogata gubernia zaludniona była przez mnóstwo półdzikich plemion, które dopiero niedawno uznały władzę monarchów rosyjskich. Częste wśród plemion tych zamieszki, brak z ich strony szacunku i przyzwyczajenia do prawa i do zasad życia obywatelskiego, lekkomyślność oraz okrucieństwo – zmuszały rząd do ciągłej baczności, ażeby utrzymać je w ryzach. Pobudowano twierdze w miejscowościach uznanych za stosowne i osiedlono w nich przeważnie Kozaków, niedawnych władców pobrzeży Jaiku. Lecz owi Kozacy, na których ciążył obowiązek pilnowania bezpieczeństwa i spokoju tego kraju, sami od pewnego czasu stali się dla rządu niespokojnymi i niebezpiecznymi poddanymi. W roku 1772, w głównym ich mieście wybuchł bunt. Dało do niego powód przedsięwzięte przez generał–majora Traubenbergą surowe środki mające na celu utrzymanie w posłuchu wojska; skutkiem tego było barbarzyńskie zamordowanie Traubenbergą, samowolna zmiana w zarządzie guberni oraz na koniec uśmierzenie zamieszek kartaczami i surowymi karami.

Wypadki te zaszły na pewien czas przed moim przybyciem do twierdzy Bielogorskiej. Wszędzie już panował spokój lub zdawało się, że panuje; władze zbyt łatwo zawierzyły pozornej skrusze chytrych buntowników, ukrywających złość i oczekujących sposobności do wznowienia rozruchów.

Powrócę teraz do mojej opowieści.

Pewnego wieczoru (działo się to w początkach października 1773 roku) siedziałem samotny, słuchając wycia jesienno wiatru i spoglądając przez okno na chmury chwilami przesłaniające księżyc. Wtem wezwano mnie do komendanta. Stawilem się natychmiast. Zastałem tam Szwabrina, Iwana Ignaticza i kozackiego podoficera. W pokoju nie było ani Wasilisy Jegorowny, ani Marii Iwanowny. Komendant przywitał się ze mną, lecz minę miał zakłopotaną. Zamknął drzwi, kazał się wszystkim prócz podoficera, który stał przy drzwiach, wyjął z kieszeni pismo i powiedział do nas: „Panowie oficerowie, ważne nowiny! Posłuchajcie, co pisze generał”. To mówiąc włożył okulary i czytał, co następuje:

„Do pana komendanta twierdzy Bielogorskiej, kapitana Mironowa. Tajne!

Zawiadamiam Pana niniejszym, że zbiegły z aresztu Kozak doński i raskolnik Jemielian Pugaczow, popełniwszy niewybaczalne zuchwalstwo przez nadanie sobie miana zgasłego imperatora Piotra III, zebrał bandę złoczyńców, wywołał rozruchy w osiedlach jaickich i zdobył oraz zburzył kilka twierdz, znacząc wszędzie swe kroki grabieżami oraz zabójstwami. Z tego powodu, otrzymawszy rozkaz niniejszy, winien Pan, Panie kapitanie, przedsięwziąć natychmiast odpowiednie środki celem odparcia wzmiankowanego wyżej łotra i samozwańca oraz, o ile się da, celem zupełnego zniszczenia onego, jeśli zwróci on swe kroki ku twierdzy opiece Pańskiej powierzonej”.

– Przedsięwziąć odpowiednie środki! – rzekł komendant zdejmując okulary i składając pismo. – Słyszeliście, panowie? Łatwo to powiedzieć! Łotr widać jest silny, my zaś mamy wszystkiego stu trzydziestu ludzi nie licząc Kozaków, którym trudno wierzyć, bez obrazy twojej, Maksimycz. (Podoficer uśmiechnął się). Trudna jednak rada, panowie oficerowie! Bierzcie się do roboty, rozstawcie warty i zarządzcie nocne dyżury; w razie napadu zamknąć wrota i wyprawić żołnierzy. Ty, Maksimycz, uważaj pilnie na swoich Kozaków. Armatę opatrz i dokumentnie oczyścić. A przede wszystkim trzymać rzecz w tajemnicy, aby w twierdzy nikt nie mógł dowiedzieć się o tym przed czasem.

Wydawszy te rozkazy Iwan Kuźmicz pożegnał nas. Wyszędłem razem ze Szwabrinem rozprawiając o zasłyszanej przed chwilą wieści.

– Jak sądzisz, czym się to skończy? – spytałem.

– Bóg wie – odparł. – Zobaczymy. Nie widzę jeszcze nic poważnego. A jeśli...

Tu zamyślił się i w roztargnieniu począł gwizdać francuską arię.

Bez względu na wszystkie środki ostrożności wieść o pojawieniu się Pugaczowa rozeszła się w twierdzy. Iwan Kuźmicz, choć wielce szanował swoją małżonkę, za nic w świecie nie zdradziłby przed nią tajemnicy służbowej. Otrzymałszy pismo od generała, w sposób dość zręczny usunął z domu Wasilisę Jegorownę mówiąc jej, że ojciec Gierasim otrzymał z Orenburga jakieś dziwne wiadomości, lecz je kryje w wielkiej tajemnicy. Wasilisa Jegorowna natychmiast zapragnęła odwiedzić popadkę i za radą męża, żeby się nie nudzić w drodze, wzięła ze sobą Maszę.

Pozostawszy sam na gospodarstwie, komendant wezwał nas bez zwłoki, Pałaszka zaś, by nie podsłuchiwała, zamknął w komórce.

Wasilisa wróciła do domu nie zdoławszy niczego dowiedzieć się od popadki; dowiedziała się natomiast, że podczas jej nieobecności odbyła się u Iwana Kuźmicza narada i że Pałaszka była pod kluczem. Domyśliła się podstępu i rozpoczęła śledztwo. Lecz Iwan Kuźmicz był na to przygotowany. Nie zmieszał się ani trochę i śmiało odpowiadał swej ciekawej towarzysce żywota. „Bo widzisz, mateczko, zachciało się babom palić w piecu słomą, a ponieważ może zdarzyć się z tego nieszczęście, wydałem więc surowy rozkaz, by w przyszłości nie palić słomą, lecz chrustem i drzazgami”. „A czemuż to zachciało ci się zamknąć Pałaszka? – spytała komendantowa. – Czemuż to biedna dziewczyna przesiedziała w komórce aż do naszego powrotu?” Na to pytanie Iwan Kuźmicz nie był przygotowany: zaplątał się w odpowiedzi i zamruczał coś nie do rzeczy. Wasilisa Jegorowna przejrzała podstęp mężowski, lecz wiedząc, że nic z niego nie wydusi, przerwała indagację i zaczęła mówić o solonych ogórkach, przyrządzanych przez Akulinę Pamfiłownę w sposób szczególny. Przez noc całą Wasilisa Jegorowna nie spała i w żaden sposób nie mogła zrozumieć, co by też kryło się w głowie męża, o czym by ona wiedzieć nie mogła.

Nazajutrz powracając z mszy spostrzegła, że Iwan Ignaticz wydobywa z armaty szmatki, kamyki, drzazgi, piasek i śmiecie wszelkiego gatunku, napchane tam przez dzieciarnię. „Cóż to znaczą te przygotowania wojenne? – myślała komendantowa – czy spodziewają się napadu Kirgizów? Lecz czyżby krył się przede mną Iwan Kuźmicz z takimi błahostkami?” Zawołała Iwana Ignaticza z mocnym postanowieniem wydobywania z niego tajemnicy, drażniącej jej

kobiecą ciekawość.

Zrobiła mu kilka uwag w sprawach gospodarczych jak sędzia zaczynający śledztwo od rzeczy postronnych, by przede wszystkim uspić czujność badanego. Po czym, pomilczawszy kilka chwil, westchnęła i rzekła kiwając głową:

– Boże święty! Ot, co za nowiny! Cóż z tego wyniknie?

– Eh, mateczko! —odparł Iwan Ignaticz – Bóg łaskaw; żołnierzy mamy dość, prochu dużo, armatę oczyściłem. A nuż oprzemy się Pugaczowowi? Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści!

– Lecz cóż to za człowiek ten Pugaczow? – spytała komendantowa.

Tu zrozumiał Iwan Ignaticz, że się wygadał, i ugryzł się w język. Było już jednak za późno. Wasilisa Jegorowna zmusiła go, by przyznał się do wszystkiego, zapewniwszy słowem, że nie powie nic nikomu.

Istotnie dotrzymała tajemnicy nie mówiąc nic nikomu z wyjątkiem popadli i to tylko dlatego, że krowa tej damy była jeszcze na stepie i mogła wpaść w ręce złoczyńców.

Wkrótce wszyscy mówić poczęli o Pugaczowie. Opinie były rozmaite. Komendant wysłał podoficera kozackiego do sąsiednich twierdz i wsi z poleceniem, by wywiedziały się dobrze o wszystkim. Podoficer wrócił po upływie dwóch dni z wieścią, że widział o sześćdziesiąt mil od twierdzy mnóstwo ognisk na stepie i słyszał od Baszkirów, że zbliża się óma nieprzeliczona. Nie mógł zresztą powiedzieć nie pewnego, ponieważ bał się jechać dalej.

W twierdzy dało się zauważyć wielkie wzburzenie wśród Kozaków; na wszystkich ulicach zbierali się w gromadki, po cichu szepcząc między sobą i rozchodząc się na widok dragona lub żołnierza z garnizonu. Posłano do nich wywiadowców. Jułaj, Kałmuk ochrzczony, doniósł o ważnej sprawie komendantowi. Według słów Jułaja, przyniesione przez podoficera kozackiego wieści były fałszywe: po swoim powrocie chytry Kozak opowiadał towarzyszom, że był u buntowników, przedstawił się samemu ich wodzowi, był dopuszczony do jego ręki i długo z nim rozmawiał. Komendant natychmiast aresztował podoficera, Jułaja zaś nazaczył na jego stanowisko. Nowość tę Kozacy przyjęli z widocznym niezadowoleniem. Szemrali głośno i wykonawca zarządzenia komendanta, Iwan Ignaticz, słyszał na własne uszy, jak mówili: „Doczekasz się, ty szcurze garnizonowy!” Komendant miał zamiar wybadać tegoż dnia swego więźnia, lecz podoficer uciekł z aresztu, zapewne przy pomocy swoich strażników.

Nowe okoliczności wzmogły jeszcze niepokój komendanta. Schwytano Baszkira z buntowniczymi odezwaniami. Komendant postanowił z tego powodu zebrać jeszcze raz oficerów i w tym celu pragnął znów pod zmyślnym pozorem usunąć z domu Wasilisę Jegorownę. Lecz jako człowiek prawy i prostoduszny, nie znalazł innego powodu jak ten, którym już raz się posłużył.

– Słuchaj no, Wasiliso Jegorowno – rzekł do niej pokasłując – ojciec Gierasim, mówią, otrzymał z miasta...

– Nie kłam, Iwanie Kuźmiczu – przerwała komendantowa – chcesz widocznie zwołać znów naradę i porozmawiać o Pugaczowie beze mnie, lecz mnie nie oszukasz.

Iwan. Kuźmicz wytrzeszczył oczy.

– No, mateczko – powiedział – jeśli już wiesz o wszystkim, to trudno; zostań, naradzimy się i przy tobie.

– Ot tak, ojczulku – odpowiedziała. – Nie twoja to sprawa kręcić. Ślij po oficerów.

Zebrałiśmy się znowu. Iwan Kuźmicz – w obecności żony – przeczytał nam wezwanie Pugaczowa napisane przez jakiegoś Kozaka półanalfabetę. Zbój zawiadamiał nas o swym zamiarze natychmiastowego marszu na naszą twierdzę, zapraszał Kozaków i żołnierzy do swej bandy, komendantom zaś radził nie stawiać oporu, w przeciwnym razie groził surową karą. Odezwa napisana była brutalnymi, lecz silnymi słowami i mogła być uczynić niebezpieczne wrażenie na umysłach ludzi prostych.

– Ach, łotr – rzekła komendantowa – cóż to on nam śmie proponować! Wyjść na spotkanie i złożyć u jego nóg sztandary! Ach, sukinsyn! Lecz czyż on nie wie, że my od czterdziestu lat jesteśmy na służbie i rozmaite, chwała Bogu, widzieliśmy rzeczy? Zali naprawdę znaleźli się tacy komendanci, co usłuchali tego zbója?

– Zapewne nie – odparł Kuźmicz. – Słysząc jednak, że łotr zawładnął już licznymi twierdzami.

– Widać naprawdę jest silny – zauważył Szwabrin.

– A ot, poznamy zaraz jego potęgę – rzekł komendant. – Wasiliso Jegorowno, daj mi klucz od szopy; Iwanie Ignaticzu, przyprowadź no Baszkira i każ Julajowi przynieść tu kańczugi.

– Poczekaj, Iwanie Kuźmiczu – rzekła komendantowa powstając z miejsca. – Pozwól, że uprowadzę Maszę dokąd bądź z domu, bo jeszcze usłyszy krzyki i przełęknie się. I ja też, prawdę mówiąc, nie jestem takich spraw amatorką. Do widzenia.

Tortury za dawnych lat tak głęboko zakorzeniły się w zwyczajach dochodzeń śledczych, że znoszący je dobroczynny ukaz przez długi czas nie odnosił żadnego skutku. Sądono, że własne przyznanie się przestępcy konieczne jest dla pełnego dowodu winy – myśl nie tylko bezpodstawna, lecz zupełnie nawet sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem prawnym; albowiem jeśli zaprzeczenia podsądnego nie uważa się za dowód jego niewinności – przyznanie się jego w mniejszym jeszcze stopniu może być dowodem winy. I dziś nawet zdarza mi się słyszeć starych sędziów, żałujących zniesienia barbarzyńskiego zwyczaju. Za naszych czasów natomiast nikt nie wątpił o konieczności tortur, ani sędziowie, ani też podsądni. Tak więc rozkaz komendanta nie zatrwożył i nie zdziwił nikogo z nas. Iwan Ignaticz udał się po Baszkira, siedzącego pod kluczem u komendantowej w szopie, i po upływie kilku chwil przyprowadzono jeńca do przedpokoju. Komendant rozkazał stawić go przed sobą.

Baszkir z trudem przestąpił przez próg (był w dybach) i zdjawszy swą wysoką czapkę zatrzymał się u drzwi. Spojrzałem nań i zadrzałem. Nie zapomnę nigdy tego człowieka. Wyglądał na lat siedemdziesiąt z górą. Nie miał nosa ani uszu. Głowę miał ogoloną; zamiast brody sterczało nieco siwych włosów; wzrostu był małego, chudy i przygarbiony, lecz w wąziutkich oczach błyszczał jeszcze ogień.

– Ehe! – rzekł komendant poznając ze straszliwych znamion jednego z ukaranych w 1741 roku buntowników. – To, widać, stary wilk z ciebie, bywałeś już w naszych łapkach. Nie pierwszozna ci buntować, skoro tak gładko wyheblowaną masz główkę. Podejź no bliżej; kto cię posłał, mów!

Stary Baszkir milczał i patrzył na komendanta całkiem bezmyślnie.

– Czego milczysz? – ciągnął Iwan Kuźmicz – czy nie rozumiesz po rosyjsku? Spytaj no go, Julaj, po waszemu, kto go posłał do naszej twierdzy.

Julaj po tatarsku powtórzył pytanie Iwana Kuźmicza. Lecz Baszkir patrzył nań z tymże wyrazem, nie odpowiadając ani słowa.

– Jakszi⁴ – rzekł komendant – jeszcze ty mi zaśpiewasz. Chłopcy! Zdjąć zeń ten pstrokaty chałat błazeński i wygarbować mu skórę. Pamiętaj, Julaj! Dobrze go!

Dwaj inwalidzi poczęli rozdziewać Baszkira. Na twarzy nieszczęśliwca odbił się niepokój. Oglądał się na wszystkie strony jak schwyte przez dzieci zwierzątko. A gdy jeden z inwalidów wziął go za rękę i zarzucił je sobie na szyję biorąc starca na plecy, Julaj zaś zamachnął się kańczugiem – Baszkir jęknął słabym, błagalnym głosem i kiwając głową rozwarł usta, gdzie zamiast języka poruszał się krótki kawałek mięśnia.

Gdy wspomnę sobie, że zdarzyło się to za mojego życia i że obecnie doczekałem się dobrotliwego panowania imperatora Aleksandra, nie mogę nie podziwiać szybkich postępów oświaty i rozpowszechnienia zasad humanitarnych. Młodzieńcze! Jeśli moje notatki wpadną w twe ręce, pamiętaj, że najlepsze i najtrwalsze zmiany są te, które powodują złagodzenie obyczajów bez wszelkich gwałtownych wstrząsów.

⁴ Dobrze

Wszyscy byli do głębi poruszeni.

– No – rzekł komendant – nie wydobędziemy widać nic z niego. Jułaj, odprowadź Baszkira do szopy. My zaś, panowie, pogadamy jeszcze o tym i owym.

Poczęliśmy rozprawiać o naszym położeniu, gdy nagle Wasilisa Jegorowna weszła do pokoju, zdyszana i zatrwożona.

– Co ci się stało? – spytał zdumiony komendant.

– Ojczulku, źle! – odparła Wasilisa Jegorowna. – Niżnieozierna wzięta dziś rano. Parobek ojca Gierasima wrócił stamtąd w tej chwili. Widział, jak ją zdobyto. Komendant i wszyscy oficerowie powieszani. Wszyscy żołnierze w niewoli. Tylko patrzeć, jak łotr się tu zjawi.

Nieoczekiwana wieść zaskoczyła mnie. Komendant Niżnieoziernej, skromny, spokojny młody człowiek, był mi znajomy: przed dwoma miesiącami przejeżdżał tędy z młodą swoją żoną i zatrzymał się u Iwana Kuźmicza. Niżnieozierna znajdowała się w odległości dwudziestu pięciu wiorst od nas. Z godziny na godzinę należało oczekiwać napadu Pugaczowa. Los Marii Iwanowny żywo zarysował się w mojej wyobraźni i serce mi zamarło.

– Proszę posłuchać, Iwanie Kuźmiczu – rzekłem do komendanta. – Obowiązkiem naszym jest bronić twierdzy do ostatniego tchu: o tym nie ma nawet co mówić. Należy jednak pomyśleć o bezpieczeństwie kobiet. Niech pan odeśle je do Orenburga, o ile droga jest jeszcze wolna, lub do jakiej odległej, pewniejszej twierdzy, dokąd zbóje nie mogą dotrzeć.

Iwan Kuźmicz zwrócił się do żony i rzekł:

– Słuchaj, mateczko, w rzeczy samej, czyby nie wyprawić was nieco dalej, dopóki nie załatwimy się z buntownikami?

– Eh, głupstwo – rzekła komendantowa. – Gdzie taka twierdza, do której by kule nie dolatywały? Dlaczego Bielogorska ma być niepewna? Chwała Bogu, dwudziesty drugi rok w niej mieszkamy. Widzieliśmy i Baszkirów, i Kirgizów, może i od Pugaczowa obronimy się jakoś!

– No, mateczko – odparł Iwan Kuźmicz – zostań. Bóg z tobą, jeśliś tak pewna naszej twierdzy. Ale co robić z Maszą? Dobrze, jeśli się obronimy albo doczekamy odsieczy, lecz jeśli łotry zdobędą fortecę?

– No, wtedy...

W tym miejscu Wasilisa Jegorowna zająknęła się i zamilkła z wyrazem nadzwyczajnego wzburzenia.

– Nie, Wasiliso Jegorowno – ciągnął komendant zauważywszy, że słowa jego podziałały, może po raz pierwszy w życiu. – Masza pozostać tu nie może. Odeślemy ją do Orenburga do jej matki chrzestnej: tam wojska i armat dosyć i mury kamienne. A i tobie radziłbym udać się z nią: nic to, żeś już stara, zobaczysz, co się z tobą stanie, jak twierdzę wezmą szturmem.

– Dobrze – powiedziała komendantowa – niech i tak będzie, odeślemy Maszę. Co do mnie, niech ci się nie marzy: nie pojedę. Po co mi na starość rozstawać się z tobą i szukać samotnej mogiły w obcej stronie? Razem żyć, razem umierać.

– I to słusznie – rzekł komendant. – No, nie ma co zwlekać. Idź, przygotuj Maszę do drogi. Jutro skoro świt odeślemy ją pod konwojem, choć nie masz u nas ludzi zbytecznych. Ale gdzież Masza?

– U Akuliny Pamfilowny – odrzekła komendantowa. – Zasłała, gdy dowiedziała się o wzięciu Niżnieoziernej; lękam się, by nie zaniemogła. Panie Boże, czegośmy to doczekali!

Wasilisa Jegorowna poszła, by zając się odjazdem córki. Rozmowa u komendanta ciągnęła się dalej; lecz ja już nie wtrącałem się i nic nie słyszałem. Maria Iwanowna przyszła na kolację zapłakana i blada. Jedliśmy milcząc i wstaliśmy wcześniej od stołu niż zwykle; pożegnawszy się z całą rodziną, udaliśmy się do domów. Lecz zostawiłem umyślnie swą szpadę i wróciłem po nią: przeczuwałem, że zastanę Maszę samą. Spotkała mnie istotnie w drzwiach i wręczyła szpadę. „Żegnaj pan, Piotrze Andrieiczu – rzekła mi ze łzami – wysyłają mnie do Orenburga. Niech pan żyje i będzie szczęśliwy; Bóg może pozwoli nam się jeszcze

spotkać; lecz jeśli nie...” Tu zatkąła. Objąłem ją. „Żegnaj, aniele mój – rzekłem – żegnaj, moja miła, moja upragniona! Cokolwiek stanie się ze mną, wiedz, że ostatnia myśl moja będzie o tobie, ostatnia modlitwa – za ciebie”. Masza łkała przywarłszy do mej piersi. Z żarem ucałowałem ją i śpiesznie wyszedłem z pokoju.

Rozdział siódmy

Szturm

*Głowo moja, głowino,
Wysłużyłaś ty się, głowo!
Służyła mi moja głowa
Równo lat trzy i trzydzieści,
Ach, nie wysłużyła głowina
Ani zysku sobie, ni radości,
Ani słowa sobie dobrego,
Ani rangi sobie wysokiej,
Wysłużyła jeno sobie głowa
Dwie belki, dwa słupy wysokie
I poprzeczkę na to klonową,
I pętelkę jeszcze jedwabną.*

Pieśń ludowa

Nocy tej nie spałem i nie rozbierałem się. Miałem zamiar o świcie udać się do wrót twierdzy, skąd Maria Iwanowna miała wyjechać, i tam po raz ostatni pożegnać ją. Czułem wielką zmianę w sobie: wzruszenia obecne mniej mi ciążyły niż ten posepny smutek, w którym byłem niedawno pogrążony. Ze smutkiem rozłąki łączyły się niejasne, lecz słodkie nadzieje i niecierpliwe oczekiwanie niebezpieczeństwa, i uczucie szlachetnej ambicji. Noc przeszła niepostrzeżenie. Chciałem już wyjść z domu, gdy drzwi się rozwarły i stanął przede mną kapral z wieścią, że Kozacy wyszli z twierdzy zabierając ze sobą przemocą Jułaja i że naokoło fortyfikacji kręcą się nieznanymi ludziami. Myśl, że Maria Iwanowna nie zdąży odjechać, przeraziła mnie; dałem naprędce kapralowi kilka wskazówek i natychmiast pobiegłem do komendanta.

Świtało już. Pędziłem przez ulicę, gdy nagle usłyszałem, że ktoś mnie wzywa. Zatrzymałem się.

– Dokąd to pan? – rzekł Iwan Ignaticz dopędzając mnie. – Iwan Kuźmicz na wale i posłał mnie do pana. Pugacz przyszedł.

– Czy Maria Iwanowna odjechała? – spytałem z drżeniem serca.

– Nie zdążyła – odparł Iwan Ignaticz – droga do Orenburga odcięta; twierdza otoczona. Żle, Piotrze Andrieiczu!

Poszliśmy na wał — wzgórek stworzony przez przyrodę i wzmocniony częstokołem. Tłoczyli się tam już wszyscy mieszkańcy twierdzy. Garnizon stał pod bronią. Armatę przetoczono tam w przeddzień. Komendant chodził przed swym nielicznym oddziałkiem. Bliskość niebezpieczeństwa natchnęła starego wojaka niezwykłą dzielnością. Po stepie w

niewielkiej odległości od twierdzy harcowało konno ze dwudziestu ludzi. Wygląd mieli Kozaków, lecz znajdowali się wśród nich i Baszkirzy, których łatwo było rozpoznać po rysich czapkach i kołczanach. Komendant obszedł swoje wojsko mówiąc do, żołnierzy: „No, dziatki, zasłonimy dziś piersiami naszą monarchinię i dowiedzimy całemu światu, że z nas ludzie honoru i wierni przysiędze”. Żołnierze głośno wyrazili swą gorliwość. Szwabrin stał obok mnie i pilnie patrzył na wroga. Harcujący po stepie, widząc ruch w twierdzy, zbili się w gromadę i poczęli rajcować. Komendant rozkazał Iwanowi Ignaticzowi, wycelować armatę na tę gromadę i sam przyłożył lont. Pocisk zahuczał i przeleciał nad nieprzyjaciółmi nie czyniąc im krzywdy. Napastnicy rozbiegłszy się umknęli natychmiast i step opustoszał.

W tej chwili zjawiała się na wale Wasilisa Jegorowna, a obok niej Masza, która nie chciała rozstać się z matką.

– I cóż? – spytała komendantowa. – Jakże idzie batalia? Gdzie nieprzyjaciel?

– Nieprzyjaciel niedaleko – odparł Iwan Kuźmicz. – Da Bóg, wszystko będzie dobrze. Cóż, Maszo, strach ci?

– Nie, ojczulku – odpowiedziała Maria Iwanowna – samej w domu straszniej.

Tu spojrzała na mnie i z wysiłkiem uśmiechnęła się. Ścisnąłem mimo woli rękojeść szpady, żem ją otrzymał w przeddzień z rąk ukochanej, jakby dla jej obrony. Serce moje płonęło. Wyobrażałem sobie, że jestem jej rycerzem. Pragnąłem dać dowód, żem godzien jej zaufania. Jąłem z niecierpliwością oczekiwać stanowczej chwili.

Nagle – spoza znajdującego się w półwiorstowej odległości od twierdzy wzgórze ukazały się nowe tłumy konnych i wkrótce step usiany był mnóstwem ludzi. Śród nich jechał na białym koniu człowiek z szablą w rękę, odziany w czerwony kaftan: był to sam Pugaczow. Zatrzymał się, otoczono go i widocznie na jego rozkaz czterech ludzi odłączyło się i co koń wyskoczy podjechało pod samą twierdzę. Poznaliśmy w nich naszych zdrajców. Jeden z nich nad czapką trzymał arkusz papieru; na kopii drugiego tkwiła głowa Jułaja, którą zamachnąwszy się, jeździec przerzucił ku nam przez częstokół. Głowa biednego Kałmuka spadła pod nogi komendanta. Zdrajcy krzyczeli:

– Nie strzelać. Wychodźcie wszyscy do hosudara! Hosudar tu!

– Ja wam pokażę! – zakrzyknął Iwan Kuźmicz. – Ognia, dzieci!

Żołnierze dali salwę. Trzymający arkusz papieru Kozak zachwiał się i runął z konia; pozostali uciekli w popłochu. Spojrzałem na Marię Iwanowną. Przerazona widokiem okrwawionej głowy Jułaja, ogłuszona salwą, wyglądała jak nieprzytomna. Komendant wezwał kaprała i kazał mu wziąć papier z rąk zabitego Kozaka. Kaprał wyszedł na pole i wrócił wiodąc kozackiego konia za uzdę. Arkusz wręczył komendantowi. Iwan Kuźmicz przeczytał po cichu i podarł na kawałki.

Buntownicy tymczasem przygotowywali się do akcji. Kule poczęły wkrótce gwizdać koło naszych uszu i kilka strzał wbiło się obok nas w ziemię i w częstokół.

– Wasiliso Jegorowno! – rzekł komendant – nie babskie to sprawy: zabierz stąd Maszę. Patrz, dziewczyna półżywa ze strachu.

Komendantowa, spokorniała pod kulami, spojrzała na step, gdzie był wielki ruch, następnie zwróciła się do męża i rzekła:

– Iwanie Kuźmiczu! Życie i śmierć w rękę Boga; pobłogosław Maszę. Maszo, podejdź do ojca.

Błada i drżąca podeszła Masza do Iwana Kuźmicza, uklękła i uderzyła czołem w ziemię. Stary komendant trzykrotnie ją przeżegnał, podniósł, ucałował i rzekł zmienionym głosem:

– No, Maszo, bądź szczęśliwa. Módl się. Bóg cię nie opuści. Gdy spotkasz dobrego człowieka, daj wam Boże miłość i zgodę. Żyjcie z sobą, jak myśmy żyli z Wasilisą Jegorowną. No, żegnaj, Maszo. Wasiliso Jegorowno, zabierz ją co prędzej.

Masza rzuciła się ojcu na szyję i załkała.

– I my ucałujmy się – rzekła z płaczem komendantowa. – Żegnaj, mój Iwanie Kuźmiczu,

przebacz, jeśli ci czasem dokuczyła.

– Żegnaj, żegnaj, mateczko! – rzekł komendant obejmując małżonkę. – No, dosyć. Idźcie, idźcie do domu, a jak zdązysz, ubierz Maszę w sarafan.

Komendantowa odeszła z Maszą. Patrzyłem na odchodzącą Marię Iwanownę; obejrzała się i skinęła mi głową. W tej chwili Iwan Kuźmicz zwrócił się do nas i skupił całą uwagę na wrogu. Buntownicy zbierali się koło swego przywódcy i nagle zaczęli zeskakiwać z koni.

– Trzymajcie się teraz mocno – rzekł komendant – będzie szturm.

Jednocześnie rozległo się straszliwe wycie i krzyk: buntownicy pędem biegli ku twierdzy. Armata nasza była nabita kartaczami. Komendant dopuścił szturmujących jak najbliżej i wystrzelił znowu. Kartacze trafiły w sam środek tłumu. Buntownicy uskoczyli w obie strony i cofnęli się. Wódz ich sam jeden trwał na przedzie... Machał szablą i zdawało się, z ogniem przemawiał do nich... Krzyk i wycie, które zamilkły na minutę, rozległy się na nowo.

– No, dzieci – rzekł komendant – otwierać teraz wrota, bić w bęben. Chłopcy! Naprzód za mną, na wypad!

Komendant, Iwan Ignaticz i ja momentalnie znaleźliśmy się za wałem, lecz przerażony garnizon ani drgnął.

– Cóż wy, dzieci, stoicie? – Krzyknął Iwan Kuźmicz. – Śmierć to śmierć, żołnierska rzecz!

W tej chwili buntownicy wpadli na nas i wdarli się do twierdzy. Bęben ucichł; żołnierze rzucili broń; upadłem pod naporem tłumu, lecz podniosłem się i wraz z buntownikami wszedłem do twierdzy. Raniony w głowę komendant stał w gromadzie zbójów żądających, by im wydał klucze. Rzuciłem mu się na pomoc i kilku tęgich Kozaków schwyciło mnie i związało pasami, dogadując:

– Będzie wam ciepło, hosudarskim wrogom! Powleczono nas przez ulice; mieszkańcy wychodzili z domów z chlebem i solą. Rozległy się dźwięki dzwonów. Nagle zaczęto wołać w tłumie, że hosudar oczekuje jeńców na placu i odbiera przysięgę. Lud runął na plac; i nas pognano tamże.

Pugaczow siedział na ganku domu komendanta. Odziany był w piękny kaftan kozacki, obsyty galonami. Wysoka czapka sobolowa ze złotymi chwastami nasunięta była głęboko na jego błyszczące oczy. Twarz jego wydała mi się znajoma. Otaczała go starszyzna kozacka. Ojciec Gierasim, błydy i drżący, z krzyżem w ręku stał przed gankiem i zdawało się, milcząc błagał o litość dla przyszłych ofiar. Na placu ustawiano naprędce szubienicę. Gdyśmy podeszli, Baszkirzy rozpędzili tłum i stawili nas przed Pugaczowem. Odgłos dzwonu zamilkł: zapadła głęboka cisza.

– Któryż to komendant? – zapytał samozwaniec.

Nasz podoficer wyszedł z tłumu i wskazał Iwana Kuźmicza. Groźnie spojrział Pugaczow na starca i rzekł:

– Jak śmiałeś opierać się mnie, hosudarowi swemu?

Słaniając się na nogach skutkiem rany, komendant zebrał ostatek sił i odparł twardym głosem:

– Tyś mi nie hosudar, tyś zbój i samozwaniec, słyszysz!

Posepnie zachmurzył się Pugaczow i machnął białą chustką. Kilku Kozaków schwyciło starego kapitana i powlokło go ku szubienicy. Na jej przekładni, siedząc jak na koniu, znalazł się okaleczony Baszkir, ten sam, któregośmy badali w przeddzień. Trzymał w ręku sznur i po chwili ujrzałem biednego Iwana Kuźmicza, wiszącego na haku. Podprowadzono wtedy do Pugaczowa Iwana Ignaticza.

– Przysięgaj – rzekł doń Pugaczow – przysięgaj hosudarowi Piotrowi!

– Tyś mi nie hosudar – odparł Iwan Ignaticz powtarzając słowa naszego kapitana. – Ty, serdeńko, zbój jesteś i samozwaniec!

Pugaczow znów machnął chustką i poczciwy porucznik zawisł obok swego starego zwierzchnika.

Nadeszła moja kolej. Patrzyłem śmiało na Pugaczowa, gotów powtórzyć słowa moich wielkodusznych towarzyszy. Wtedy ku niewymownemu mojemu zdumieniu ujrzałem wśród starszyny buntowników Szwabrina, ostrzyżonego po kozacku i w kozackim kaftanie. Podeszedł do Pugaczowa i powiedział mu kilka słów na ucho.

– Wieszać go! – rzekł Pugaczow nie spojrzawszy już na mnie.

Nałożono mi stryk na szyję. Jąłem po cichu, odmawiając modlitwy korząc się szczerze przed Bogiem za wszelkie moje grzechy i – błagając go o ratunek dla wszystkich bliskich memu sercu. Zawleczono mnie pod szubienicę.

– Nie bój się, nie bój – dogadywali moi oprawcy, szczerze, być może, pragnąc dodać mi otuchy. Nagle usłyszałem krzyk:

– Stójcie, opętańcy, czekajcie! – Kaci zatrzymali się. Patrząc: Sawielicz leży u nóg Pugaczowa.

– Ojciec rodzony! – mówił biedny mój opiekun.

– Co ci zależy na śmierci pańskiego dziecka? Puść go; dadzą ci wykup za niego; a dla przykładu i postrachu każ powiesić choćby mnie starego!

Pugaczow dał znak i rozwiązano mnie natychmiast.

– Ojciec nasz ułaskawia cię – mówili do mnie.

Nie mogę twierdzić, że byłem w tej chwili rad z wybawienia, nie powiem również, by mnie ono zasmuciło. Uczucia moje zbyt były zmałowane. Przyprawiono mnie znów do Pugaczowa i zmuszono, bym ukląkł przed nim. Pugaczow wyciągnął do mnie swą żylastą rękę.

– Pocałuj w rękę, pocałuj w rękę – mówiono koło mnie.

Lecz ja wolałbym każdą najokrutniejszą od tak podłego poniżenia.

– Dobrodzieju Piotrze Andrieiczu – szeptał stojąc za mną i popychając mnie Sawielicz. – Nie upieraj się. Co ci szkodzi? Pluń, a pocałuj łotra... (tfu!) ucałuj jego rękę.

Nie poruszyłem się. Pugaczow opuścił rękę mówiąc z uśmiechem:

– Jego wielmożność oszalał widocznie z radości. Podnieście go!

Podniesiono mnie i pozostawiono na wolności. Jąłem przyglądać się dalszemu biegowi okrutnej komedii.

Mieszkańcy zaczęli przysięgać. Podchodzili jeden za drugim, całując krzyż i kłaniając się następnie samozwańcowi. Żołnierze garnizonowi stali tuż. Krawiec wojskowy, uzbrojony w swoje tępe nożyce, obcinał im warkoczyki. Otrząsając się szli do Pugaczowa, całowali – go w rękę, on zaś dawał im przebaczenie i wcielał do swej bandy. Ciągnęło się to wszystko ze trzy godziny. Pugaczow wstał wreszcie z fotela i zszedł z ganku w towarzystwie starszyny. Podprowadzono mu białego konia w bogatym rzedzie. Dwóch Kozaków ujęło Pugaczowa pod ręce i posadziło na siodło. Zapowiedział ojcu Gierasimowi, że będzie u niego obiadował. W tej chwili rozległ się krzyk kobiety. Kilku zbójów wywlekło na ganek Wasilisę Jegorownę z rozwichrzonymi włosami i rozdżianą do naga. Jeden z nich zdążył już ustroić się w jej kabacik. Inni wynosili kufry, pierzyny, zastawę do herbaty, bieliznę, wszelkie graty.

– Dobrodzieje moi! – krzyczała biedna staruszka – ratujcie duszyczkę moją. Ojcowie rodzeni, zaprowadźcie mnie do Iwana Kuźmicza! – Nagle spojrzała na szubienicę i poznała swojego męża. – Złoczyńcy! – zakrzyknęła nie panując nad sobą. – Coście z nim zrobili?! Słonko ty moje, Iwanie Kuźmiczu, wdały żołnierzyku! Nie tknęły cię pruskie bagnety ani kule tureckie; nie złożyłeś swej główki na polu chwały, lecz tu ci przyszło zginąć z rąk katorżnego zbiega!

– Uciszcie starą wiedźmę! – rzekł Pugaczow. Wtedy młody Kozak uderzył ją szablą po głowie i staruszka padła trupem na stopniach ganku. Pugaczow odjechał. Lud pobiegł za nim.

Rozdział ósmy

Nieproszony gość

Gość nie w porę – gorzej tatarzyna.

Przysłowie

Plac opustoszał. Stałem wciąż na jednym miejscu, nie mogąc uporządkować myśli, zmaconych tyłoma okropnymi wrażeniami. Dręczyła mnie nade wszystko nieświadomość losu Marii Iwanowny. Gdzie ona? Co się z nią dzieje? Czy zdążyła się ukryć?! Czy pewna jest jej kryjówka? Pełen trwożnych myśli, wszedłem do domu komendanta. Pustka wszędzie: krzesła, stoły, skrzynie – połamane, naczynia rozbite, wszystko rozgrabione. Wbiegłem po schodkach do świetlicy i po raz pierwszy w życiu wstąpiłem do pokoiku Marii Iwanowny. Ujrzałem jej pościel zmietoszoną przez zbójów; szafa była potrzaskana i ograbiona, lampka tliła się jeszcze przed ikoną. Ocalało i zwierciadelko, wiszące na przepierzeniu... Gdzież podziała się właścicielka tej dziewiczej celki? Myśl straszliwa zabłysła mi w głowie: wyobrażałem sobie Maszę w rękach zbójów... Serce ścisnęło mi się boleśnie. Gorzko, gorzko zapłakałem i głośno wymówiłem imię ukochanej. W tej chwili dał się słyszeć lekki szmer i spoza szafy wyszła Pałasza, blada i drżąca.

– Ach, Piotrze Andrieiczu! – rzekła załamując ręce. – Co za dzień! Co za nieszczęście!...

– A Maria Iwanowna? – spytałem niecierpliwie. – Co z Marią Iwanowną?

– Panienska żyje – odparła Pałasza – ukryto ją u Akuliny Pamfilowny.

– U popadii! – krzyknąłem przerażony. – Boże mój! Ależ tam jest Pugaczow!

Wybiegłem z pokoju, w mgnieniu oka znalazłem się na ulicy i pobiegłem bez pamięci do domu, w którym mieszkał duchowny, nie czując nic i nic nie widząc. Rozległy się tam krzyki, śmiech, pieśni. Pugaczow ucztował z towarzyszami. Pałasza przybiegła tam za mną. Posłałem ją, by po cichutku sprowadziła Akulinę Pamfilownę. Po chwili popadła wyszła do sieni z pustą butelką w ręku.

– Na Boga! Gdzie jest Maria Iwanowna? – spytałem z niewysłowionym wzburzeniem.

– Leży, gołąbeczka, na moim łóżku, tam za przepierzeniem – odpowiedziała popadła. – No, Piotrze Andrieiczu,omal nie zważyło się nieszczęście, lecz wszystko poszło dobrze, chwała Bogu: ledwo zbój siadł do stołu, ona, biedactwo moje, ocknęła się i zajęczała... Zamarłam ze strachu. On usłyszał: „A któż to tam jęczy u ciebie, starucho?” Pokłoniłam się zbójowi w pas: „Siostrzenica moja, hosudarze, zachorowała i leży, ot już drugi tydzień”. – „A czy młoda ta twoja siostrzenica?” – „Młoda hosudarze”. – „A pokaż ty mi tę siostrzenicę, starucho”. Serce mi się ścisnęło, lecz cóż było począć? „Chętnie, hosudarze, lecz dziewczyna nie może wstać i przyjść do waszej miłości”. – „To nic, starucho, pójdę ja sam popatrzeć!” I poszedł, przeklęty, za przepierzenie, pomyśl tylko! Odciągnął zasłonę, spojrział jastrzębim

swym wzrokiem – i nic... Bóg łaskaw. A czy uwierzysz! Ja i mój stary szykowaliśmy się już na śmierć męczeńską. Na szczęście ona, gołąbeczka moja, nie poznała go. Panie Wszechmocny, doczekaliśmy się święta! Nie ma co gadać. Biedny Iwan Kuźmicz! Kto by pomyślał... A Wasilisa Jegorowna? A Iwan Ignaticz? I za cóż to? Lecz jak to pana oszczędzono? A cóż Szwabrin, Aleksy Iwanycz? Ostrzygł się przecie po kozacku i ucztuje teraz u nas z nimi! Chwat, nie ma co! A gdy mówiłam o chorej siostrzenicy, on, czy uwierzysz, tak spojrzął na mnie, jakby pchnął nożem; nie zdradził jednak, dzięki mu i za to.

W tej chwili rozległy się okrzyki pijanych i głos ojca Gierasima. Goście wołali o wino, gospodarz wzywał małżonkę. Popadła zakrzętnęła się.

– Idź do domu, Piotrze Andrieiczu – rzekła – nie twoje tu miejsce teraz; zbóje piją. Może być źle, gdy wpadniesz w ręce pijackie. Żegnaj, Piotrze Andrieiczu. Co będzie, to będzie. A nuż Bóg nie opuści.

Popadła wyszła. Uspokojony nieco, udałem się do siebie. Przechodząc przez plac ujrzałem kilku Baszkirów, krzątających się koło szubienicy i ściągających z wisielców buty; z trudem powstrzymałem poryw oburzenia czując bezsilność. Po twierdzy, biegali zbóje grabiąc domy oficerskie. Zewsząd dolatywały krzyki pijanych buntowników. Przyszedłem do domu. Sawielicz czekał mnie na progu.

– Chwała Bogu! – krzyknął na mój widok. – Myślałem, było, że zbóje znów cię chwycili. No, dobrodzieju Piotrze Andrieiczu, czy uwierzysz, wszystko u nas rozgrabili łotry: ubranie, bieliznę, rzeczy, naczynia – nic nie oszczędzili. Ale cóż! Chwała Bogu, że ciebie puścili żywcem. A czy poznałeś, panie, atamana?

– Nie, nie poznałem. Któż to taki?

– Jałc to, paniczu? Zapomniałeś już o tym pijanicy, co to wymanił od ciebie kubrak zajęczy w domu zajęcznym? Zajęczy kubrak nowiuteńki; a on, bestia, rozpruł go całkiem, wciągając na siebie!

Zdumiałem się. Istotnie, podobieństwo Pugaczowa do mego przewodnika było uderzające. Nabrałem pewności, że Pugaczow i on byli jedną osobą, i zrozumiałem powód okazanej mi łaski. Nie mogłem nie podziwiać niezwykłego splotu okoliczności: dziecięcy kubrak, podarowany włóczędze, uratował mnie od stryka; włóczący się po karczmach pijanica oblegał twierdzę i trząsał państwem.

– Czy nie raczysz coś zjeść? – spytał Sawielicz, stały w swoich przyzwyczajeniach. – W domu nie ma nic. Pójdę, poszukam i coś tam znajdę dla ciebie, panie.

Gdym pozostał sam, zatonałem w myślach. Co mam począć? Pozostać w twierdzy pod władzą zbója lub wlec się z jego bandą – nie przystało oficerowi. Obowiązek wymagał, bym znalazł się tam, gdzie służba moja mogłaby być pożyteczna dla ojczyzny w terażniejszych, tak trudnych, okolicznościach... Lecz miłość radziła mi usilnie, bym pozostał i trwał przy Marii Iwanownie, jako jej opiekun i obrońca. Choć przewidywałem szybką i niewątpliwą zmianę warunków, nie mogłem nie drzeć na myśl o czyhających na nią niebezpieczeństwach.

Rozmyślenia moje przerwał Kozak, który nadbiegł z wiadomością: „jako wielki hosudar wzywa mnie do siebie”.

– Gdzie on jest? – spytałem, gotów usłuchać. W domu komendanta, wasza wielmożność – odparł Kozak. – Po obiedzie ojciec nasz udał się do łaźni, teraz zaś wypoczywa. Widać zaraz, że to znaczna persona: przy obiedzie raczył zjeść dwa pieczone prosiaki, w łaźni zaś parzył się tak, że nawet Taras Kuroczkin nie wytrzymał i oddał miotelkę Fomce Bikbajewowi, sam zaś ledwo odratował się kubłami zimnej wody. Nie ma co mówić. W obejściu taki godny... A w łaźni, jak mówią, pokazywał carskie swe znamiona na piersiach: na jednej orzeł dwugłowy, wielkości piąta, na drugiej – własna jego osoba.

Nie widziałem potrzeby zbijania poglądów Kozaka i udałem się wraz z nim do domu komendanta; z góry już wyobrażałem sobie widzenie z Pugaczowem, starając się odgadnąć, czym ono się skończy. Czytelnik łatwo może sobie wyobrazić, że nie zachowałem całkowicie

zimnej krwi.

Zmierzchało już, gdym doszedł do celu. Straszliwie czerniała szubienica ze swymi ofiarami. Zwłoki biednej komendantowej wciąż jeszcze leżały przed gankiem, przy którym dwóch Kozaków stało na warcie. Kozak, który mnie przywiódł, oddalił się, by mnie zameldować; wróciwszy, natychmiast wprowadził mnie do pokoju, gdzie w przeddzień tak tkliwie żegnałem się z Marią Iwanowną.

Uderzył mnie niezwykle widok. Przy stole, nakrytym obrusem i pełnym butelek, Pugaczow i dziesięciu kozackiej starszyny siedzieli w czapkach i barwnych koszulach, rozgorączkowani winem, z czerwonymi gębami i błyszczącymi oczyma. Nie było wśród nich ani Szwabrina, ani też naszego kozackiego podoficera, świeżo upieczonych zdrajców. „A, wasza wielmożność! – rzekł Pugaczow na mój widok – witamy, witamy; honor i uszanowanie, prosimy uprzejmie”. Biesiadnicy posunęli się. Siadłem w milczeniu u końca stołu. Sąsiad mój, młody Kozak, zgrabny i przystojny, nalał mi kielich gorzałki, której nie tknąłem. Z ciekawością jąłem przyglądać się zebraniu. Pugaczow siedział na pierwszym miejscu, oparłszy się łokciami na stole i szeroką pięścią podpierając czarną brodę. Rysy jego twarzy prawidłowe i dość przyjemne nie miały w sobie nic z okrucieństwa. Zwracał się często do osobnika lat mniej więcej pięćdziesięciu, zwąc go czasem grafem, czasem Timofieiczem, niekiedy nawet tytułując go stryjem. Wszyscy zachowywali się jak towarzysze, nie okazując zbytnej czci swemu wodzowi. Mówiono o szturmie porannym, o powodzeniu buntu i o przyszłych działaniach. Każdy chwalił się, wypowiadał swe poglądy i swobodnie krytykował Pugaczowa. I na tej dziwacznej radzie wojennej postanowiono marsz na Orenburg: zamiar zuchwały, omal nie uwieńczony fatalnym triumfem. Wymarsz naznaczono na dzień następny.

– No, bracia – rzekł Pugaczow – a zaśpiewajmyż przed snem moją ulubioną piosenkę. Czumakow, zaczynaj!

Sąsiad mój jął przeciągle śpiewać ciekawym głosem posępną piosenkę burłacką, a wszyscy wtórowali mu chórem:

Nie szum mi, dąbrowo, smuć mnie twe szумы!
Pozwól mi, młodemu, snuć swe dumki–dumy...
Jutro na sąd idę z więziennej omroczy,
Jutro spojrzą na mnie groźne, carskie oczy.
I spytał car ojciec: „Mów dzieciątko moje,
A z kimżeś to chadzał na boje–rozboje?
Wydaj swych pachołków, wymień towarzyszy,
Niech z twych ust car–ojciec prawdę świętą słyszy...”
„Powiem ci, nadziejo, prawosławny carze,
Prawdę całą powiem, towarzyszy wskażę,
Niech na szubienicy zawisną wysoko!...
Pierwszy – to noc ciemna, że choć wykol oko!
A drugi towarzysz, serdeczny, rodzony,
Nóż błyszczący, ostry, na brusku toczony;
Trzeci druh – koń rączy ni to wicher prędko.
Czwarty – mój łuk krzywy, a jak trzcina giętka,
Zaś pachołki moje – w ogniu kute strzały...”
Na to z tronu swego rzeknie mi car biały:
„Cześć ci, chłopski synu, umiałeś się skradać
Nocką z nożem w rękę, umiesz odpowiadać,
Za to ci w nagrodę dam gmach tak wspaniały,
Że, by nań popatrzeć, mnogi lud się zleci:
Dwa wysokie słupy, w poprzek z hakiem trzeci...”

Nie sposób mi wyrazić, jakie wrażenie wywarła na mnie ta pieśń ludowa o szubienicy,

śpiewana przez przyszłe jej ofiary. Groźne ich twarze, dźwięczne głosy, posepny ton nadany przez nich słowom i tak dość wyrazistym – wszystko to wstrząsnęło mnie wieszczą jakąś grozą.

Goście wypili jeszcze po szklance, wstali od stołu. Pożegnali się z Pugaczowem. Chciałem iść z nimi, lecz Pugaczow rzekł mi: „Siedź, chcę pomówić z tobą”. Zostaliśmy więc sami.

Przez kilka minut trwało obustronne milczenie. Pugaczow patrzył na mnie uważnie, z lekka mrużąc lewe oko z podziwu godnym wyrazem filuterności i drwiny. Zaśmiał się wreszcie tak szczerze i wesoło, że i ja, spoglądając nań, jałem śmiać się, sam nie wiedząc z czego.

– No i cóż, wasza wielmożność? – rzekł ml. – Przyznaj się: stchórzyłeś, gdy moje zuchy zarzuciły ci stryk na szyję? Pewno niebo wydało ci się nie większe od skóry owczej... I pobujałbyś na haku, gdyby nie twój służący. Poznałem zaraz starego grzyba. No i czy przypuszczałeś, wasza wielmożność, że człowiek; co cię do u m i o t u odprowadził, był to sam wielki hosudar? (Tu przybrał wyraz twarzy dostojny i tajemniczy). Mocnoś wobec mnie zawinił – ciągnął dalej – lecz ja zmiłowałem się nad tobą za twoje dobrodziejstwo, gdy zmuszony byłem kryć się przed moimi wrogami. Nie takie zobaczysz jeszcze sprawy! Nie tak cię jeszcze wynagrodzę, gdy odzyskam swoje państwo! Czy obiecujesz służyć mi gorliwie?

Zapytanie takie i zuchwalstwo samozwańca wydały mi się tak zabawne, że nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

– Czemu się uśmiechasz? – spytał nachmurzony. – Czy nie wierzysz, że jestem wielkim hosudarem? Odpowiadaj szczerze.

Zmieszałem się. Nie mogłem się przemóc, by uznać włóczęgę za monarchę: wydawało mi się to słabością niewybaczalną. Nazwać go w oczy oszustem – znaczyło skazać się samemu na zgubę i to, na co byłem zdecydowany pod szubienicą, na oczach całego ludu, w pierwszym popędzie oburzenia, wydało mi się teraz bezpłodną chełpliwością. Wahałem się. Pugaczow posepnie oczekiwał mojej odpowiedzi. Nareszcie (i dziś jeszcze z zadowoleniem przypominam sobie tę chwilę) poczucie obowiązku zatriumfowało we mnie nad ludzką słabością. Odparłem Pugaczowowi:

– Słuchaj, powiem ci całą prawdę. Osądź, czy mogę uznać cię za hosudara. Człowiek z ciebie zmyślny. Spostrzegłbyś, że ciebie okpiwam.

– Kimże więc jestem według ciebie?

– Bóg cię raczy wiedzieć, lecz kimkolwiek jesteś, w niebezpieczną grę się wdałeś. Pugaczow bystro spojrział na mnie.

– Więc ty nie wierzysz – rzekł – że jestem hosudarem, Piotrem Fiodorowiczem? No, dobrze. Lecz czyż chwatowni nie towarzyszy powodzenie? Czy za dawnych czasów nie panował Griszka Otriepiew? Myśl o mnie, co chcesz, lecz nie odsuwaj się ode mnie. Co ci do tych wszystkich spraw? Ktokolwiek jest popem, ten jest i ojcem.

Służ mi wiernie i szczerze, a zrobię cię i księciem, i feldmarszałkiem. Jak myślisz?

– Nie – odparłem z mocą. – Szlachcicem jestem z urodzenia; przysięgałem najjaśniejszej imperatorowej i służyć ci nie mogę. Jeśli w rzeczy samej życzysz mi dobrze, puść mnie do Orenburga.

Pugaczow zamyślił się.

– Lecz jeśli puszcze – rzekł – czy obiecujesz przynajmniej nie stawać przeciwko mnie?

– Jakżeż ci mogę obiecać coś podobnego – odpowiedziałem. – Sam wiesz, nie moja tu wola: każą iść przeciwko tobie, pójdę. Co robić? Sam teraz jesteś wodzem, sam wymagasz posłuszeństwa od swoich. Do czegoż to będzie podobne, skoro wymówię się od służby, gdy jej zażądają? Głowa moja w twej władzy. Wypuścisz – dzięki, stracisz – niech Bóg cię sądzi: lecz ja powiedziałem ci prawdę.

Szczerłość moja zdumiała Pugaczowa.

– Niech więc tak się stanie – rzekł uderzając mnie po ramieniu. – Stracić to stracić,

ułaskawić to ułaskawić. Idź sobie na wszystkie cztery wiatry i rób, co chcesz. Przyjdź jutro pożegnać się ze mną, a teraz idź spać, bo i mnie drzemka ogarnia.

Wyszedłem od Pugaczowa i znalazłem się na ulicy. Noc była cicha i mroźna. Miesiąc i gwiazdy świeciły jasno, oświetlając plac i szubienicę.

Mrok i cisza ogarnęły twierdzę. W szynku tylko świeciło się i rozlegały się wrzaski zapóźnionych hulaków. Spojrzałem na dom popa. Wrota i okiennice były zamknięte. I tam, zdawało się, panował spokój.

Przybyłem na kwaterę i zastałem Sawielicza zatroskanego moją nieobecnością. Wieść o moim uwolnieniu uradowała go niewymownie.

– Chwała ci, Boże – powiedział żegnając się. – Skoro świt opuścimy twierdzę i pójdziemy gdzie oczy poniosą. Coś tam przygotowałem. Pojedz sobie, paniczu, i spoczywaj do ranka jak u Pana Boga za piecem.

Poszedłem za jego radą i zjadłszy z niemałym apetytem kolację zasnąłem na gołej podłodze, umęczony na duszy i ciele.

Rozdział dziewiąty

Rozłąka

*Słodko cię było poznawać,
Ciebie, ty moja piękna;
Smutno się, smutno rozstawać,
Smutno, jak z duszą własną.*

Chieraskow

Rankiem zbudził mnie głos bębna. Udałem się na punkt zborny. Wokół szubienicy, na której wisiały jeszcze wczorajsze ofiary, formował się już tłum z ludzi Pugaczowa. Kozacy na koniach, żołnierze pod bronią. Sztandary łopotały. Kilka armat, wśród nich i nasza, ustawione już były na polowych lawetach. Wszyscy mieszkańcy byli obecni, oczekując samozwańca. Przed gankiem domu komendanta Kozak trzymał za uzdę pięknego białego konia kirgiskiej rasy. Szukałem oczyma ciała komendantowej. Odsunięto je nieco na bok i przykryto rogózką. Pugaczow wyszedł wreszcie z sieni. Tłum obnażył głowy. Pugaczow zatrzymał się na ganku i przywitał wszystkich. Jeden ze starszyzny podał mu woreczek z miedziakami, on zaś począł je garściami rozrzucać. Tłum z krzykiem rzucił się je zbierać i w tłoku nie obeszło się bez bitki. Pugaczowa otoczyli główni jego kompani. Wśród nich znajdował się i Szwabrin. Spojrzenia nasze skrzyżowały się; w moim wyczytał on zapewne pogardę i odwrócił się z wyrazem szczerej wściekłości oraz udanej ironii. Spostrzegłszy mnie w tłumie Pugaczow skinął mi głową i wezwał do siebie.

– Słuchaj – rzekł do mnie – ruszaj natychmiast do Orenburga i zawiadom w moim imieniu gubernatora i wszystkich generałów, ażeby oczekiwali mnie za tydzień. Poradź im, by przyjęli mnie z dziecięcą miłością i winnym posłuchem, w przeciwnym razie nie ujdą srożej kary Szczęśliwej drogi, wasza wielmożność. – Zwrócił się potem do ludu i rzekł wskazując Szwabrina:

– Ot, macie dziatki, nowego komendanta. Słuchajcie go we wszystkim: on odpowiada przede mną za was i za twierdzę. Z przerażeniem słuchałem tych słów: Szwabrin stał się panem twierdzy. Maria Iwanowna była w jego mocy. Boże, co się z nią stanie? Pugaczow zszedł z ganku. Podprowadzono mu konia. Zręcznie wskoczył na siodło nie czekając na Kozaków, którzy chcieli go podsadzić.

W tej chwili ujrzałem, że z tłumu występuje mój Sawielicz, podchodzi do Pugaczowa i podaje mu arkusz papieru. Nie mogłem się domyślić, co z tego wyniknie.

– Cóż to takiego? – z powagą spytał Pugaczow.

– Przeczytaj, wtedy raczysz się dowiedzieć – odparł Sawielicz.

Pugaczow wziął arkusz i długo, uważnie weń się wpatrywał.

– Co ty tak dziwnie piszesz? – rzekł wreszcie. – Najjaśniejsze oczy nasze nie mogą nic rozeznąć. Gdzie mój obersekretarz?

Młody chłopak w mundurze kaprała zgrabnie podbiegł do Pugaczowa.

– Czytaj głośno – rzekł samozwaniec podając mu papier.

Ciekaw byłem niezmiernie, o czym zachciało się mojemu Sawieliczowi pisać do Pugaczowa. Obersekretarz począł głośno sylabizować, co następuje:

„Dwa szlafroki, bawełniany jeden, jedwabny w pasy drugi, cena sześć rubli”.

– Co to znaczy? — chmurząc się zapytał Pugaczow.

– Każ czytać dalej – odrzekł spokojnie Sawielicz.

Obersekretarz czytał dalej:

„Mundur z cienkiego zielonego sukna, rubli siedem”.

„Spodnie białe sukienne, rubli pięć”.

„Dwanaście koszul z holenderskiego płótna, z mankietami, rubli dziesięć”.

„Puzdro z przyborami do herbaty, rubli dwa i pół...”

– Cóż to za brednie? – przerwał Pugaczow. – Co mi do przyborów i spodni z mankietami? Sawielicz chrząknął i począł tłumaczyć:

– To, ojczulku, racz zauważyć, rejestr dobra pańskiego rozgrabionego przez złoczyńców...

– Jakich złoczyńców? – groźnie zapytał Pugaczow.

—Przepraszam, przejęczyłem się – odparł Sawielicz. – Złoczyńcy, nie złoczyńcy, lecz twoi słudzy pomyszkowali i rozkradli. Nie gniewaj się, koń ma cztery nogi, a potknie się. Każ czytać do końca.

– Czytaj – rzekł Pugaczow.

Sekretarz ciągnął dalej:

„Kołdra perlikowa, druga z tafty, watowana, rubli cztery”.

„Futro lisie, kryte suknem czerwonym, rubli czterdzieści”.

„A jeszcze kubrak zajęczy, ofiarowany Waszej Miłości w domu zajezdny, rubli piętnaście.”

—A to co znowu! – krzyknął Pugaczow i oczy rozbłysły mu ogniem.

Wyznaję, że strach mnie ogarnął za mojego sługę. Chciał on tłumaczyć się w dalszym ciągu, lecz Pugaczow przerwał mu:

– Jak śmiesz pchać się do mnie z takimi bzdurami?! – krzyknął i wyrwawszy papier z rąk obersekretarza rzucił go w twarz Sawieliczowi. – Głupi staruch! Ograbili ich – wielka rzecz! Powinieneś, stary głupcze, wiecznie modlić się do Boga za mnie i za moich zuchów, żeście razem z tym twoim panem nie wisieli tu obok tych buntowników. Kubrak zajęczy! Ja ci pokażę kubrak zajęczy! A czy ty wiesz, że każę żywcem zedrzeć z ciebie skórę na kubraki?

– Wola twoja – odrzekł Sawielicz – jestem poddany i odpowiadam za dobro moich państwa.

Pugaczow miał widocznie swoją chwilę wspaniałomyślności. Odwrócił się i odjechał nie rzekłszy więcej ni słowa. Szwabrin i starszyzna pojechali za nim. Banda wyszła z twierdzy w porządku. Lud towarzyszył Pugaczowowi. Zostałem na placu sam z Sawieliczem. Sługa mój trzymał swój rejestr w ręku i wpatrywał się weń z głębokim żalem.

Widząc moje dobre stosunki z Pugaczowem, staruszek chciał je wykorzystać, lecz mądre jego zamiary nie udały się. Jąłem karcic go za niewczesną gorliwość, lecz nie mogłem wstrzymać się od śmiechu.

– Śmieję się, panie, śmieję – odpowiedział Sawielicz – lecz skoro trzeba będzie od nowa się urządzać, zobaczymy, czy będziesz się śmiał.

Spieszyłem się do domu ojca Gierasima, by ujrzeć Marię Iwanowną. Popadła przyjęła mnie smutną wiadomością. Nocą Maria Iwanowna zapadła na silną gorączkę. Leżała bez przytomności, majacząc. Popadła wprowadziła mnie do jej pokoju. Cicho podszedłem do łóżka. Zmieniona jej twarz przeraziła mnie. Chora mnie nie poznawała. Długo stałem przy

łóżku nie słuchając ojca Gierasima ani zacnej jego małżonki, którzy, jak mi się zdaje, pocieszali mnie. Posępne myśli burzyły się we mnie. Stan biednej, bezbronnej sieroty, opuszczonej wśród złośliwych buntowników, własna moja bezsilność – przeraziły mnie. Szwabrin, Szwabrin najbardziej dręczył moją wyobraźnię. Obdarzony władzą przez samozwańca, wiodąc rej w twierdzy, gdzie znajdowało się nieszczęsne dziewczę, niewinny przedmiot jego nienawiści, mógł porwać się na wszystko. Cóż mi pozostało do czynienia? Jak jej pomóc? Jak wyzwolić z rąk łotra? Pozostawało jedno: natychmiast udać się do Orenburga, żeby przyspieszyć wyzwolenie twierdzy Biełogorskiej i w miarę możliwości współdziałać w tej sprawie. Pożegnałem się z ojcem Gierasimem, z Akuliną Pamfilówną, polecając gorąco ich pieczy tę, którą uważałem już za swoją żonę. Ująłem rękę biednej dziewczyny i całowałem skrapiając ją łzami.

– Żegnaj – mówiła popadła odprowadzając mnie – żegnaj. Piotrze Andrieiczu. A nuż ujrzymy się w lepszych czasach? Nie zapominaj o nas i pisz jak najczęściej. Biedna Maria Iwanowna nie ma obecnie poza panem ani pocieszyciela, ani opiekuna.

Gdy wyszedłem na plac, zatrzymałem się na chwilę i spojrzawszy na szubienicę pokłoniłem się nisko; opuściłem następnie twierdzę i ruszyłem drogą w kierunku Orenburga w towarzystwie Sawielicza, który nie odstępował mnie na krok.

Szedłem pogrążony w myślach, gdy nagle usłyszałem za sobą tętent. Obejrząwszy się, widzę: z twierdzy pędzi Kozak dźwierząc za uzdę baszkirskiego konia i daje mi z daleka jakieś znaki. Zatrzymałem się i poznałem naszego kozackiego podoficera. Podjechawszy zsiadł z konia i rzekł oddając mi uzdę drugiego:

– Wasza wielmożność! Ojciec nasz ofiaruje panu konia i szubę z własnych barków (do siodła przytroczony był kozuch). A jeszcze – dodał jękając się podoficer – ofiaruje panu... pół rubla gotówką... ale zgubiłem je po drodze; niech pan wybaczy łaskawie.

Sawielicz spojrział nań z ukosa i zawarczał:

– Zgubiłeś po drodze! A cóż to tam brzęczy za twoją pazuchą? Bezczelny!

– Co brzęczy za pazuchą niby? – odparł podoficer, nie zmieszany ani trochę. – Bóg z tobą, staruszkule! To brzęczy uzdeczka, nie półrublówka.

– Dobrze – rzekłem przerywając spór. – Podziękuj ode mnie temu, co cię przysłał, a zgubione pieniądze postaraj się znaleźć w powrotnej drodze i weź je sobie na wódkę.

– Wielcem wdzięczny, wasza wielmożność – odpowiedział zawracając konia – wiecznie za pana modlić się będę.

To rzekłszy pomknął z powrotem, trzymając jedną rękę za pazuchą, i po chwili znikł w oddali.

Włożyłem kozuch i siadłem na koń, sadzając Sawielicza za sobą.

– Ot, i widzisz, panie – rzekł piastun – nie na próżno podałem łotrowi suplikę: ruszyło sumienie bezecnika. Chociaż koścista klacz baszkirska i kozuch niewarte są nawet połowy tego, co oni, rabusie, ukradli nam, i tego, co ty sam raczyłeś mu ofiarować, wszakże przydadzą nam się w drodze; z kiepskiego psa chociaż sierści kłak.

Rozdział dziesiąty

Oblężenie miasta

*Rozłożywszy się na łąkach i górach,
Ze szczytu na gród. rzucił spojrzenie jak orzeł,
Za obozem polecił sporządzić maszyny,
A skrywszy w nich pioruny – nocą pod gród przybliżyć.*

Chieraskow

Gdym zbliżył się do Orenburga, ujrzałem gromadę kajdaniarzy o głowach ostrzyżonych i twarzach zniekształconych kleszczami kata. Pracowali przy fortyfikacjach pod okiem inwalidów garnizonowych. Niektórzy wywozili furkami gruz zapelniający rowy, inni – kopali ziemię łopatami: na wale kamieniarze nosili cegły i naprawiali mury forteczne. U wrót zatrzymały nas warty żądając paszportów. Skoro jednak sierżant usłyszał, że jedziemy z twierdzy Bielogorskiej, poprowadził nas natychmiast do domu generała.

Znaleźliśmy go w ogrodzie. Opatrywał jabłonki, obnażone tchnieniem jesieni, i przy pomocy starego ogrodnika starannie owijał je słomą. Na twarzy jego malował się spokój, zdrowie i dobroduszość. Uradował się na mój widok i jał wypytywać o straszliwe wypadki, których byłem świadkiem. Opowiedziałem mu wszystko. Starzec słuchał uważnie, nie przestając obcinać zeschniętych gałązek. „Biedny Mironow! – rzekł gdy skończyłem swą smutną opowieść. – Szkoda go: dobry był z niego oficer; madame Mironow dobra była pani, a jaki z niej był mistrz w soleniu grzybów! A cóż Masza, córka kapitana?”

Odpowiedziałem, że została w twierdzy na opiece popadii. „Aj, aj, aj – zauważył generał. – To źle, bardzo źle! Na dyscyplinę zbójów w żaden sposób liczyć nie można. Co się stanie z biedną dziewczyną?” Odpowiedziałem, że do twierdzy niedaleko i że zapewne jego ekscelencja może wysłać wojska celem wyzwolenia biednych jej mieszkańców. Generał pokiwał głową w sposób oznaczający powątpiewanie. „Zobaczmy, zobaczmy – powiedział. – Zdążymy jeszcze pogadać o tym. Proszę zająć do mnie łaskawie na filiżankę herbaty: dziś zwołuję radę wojenną. Ty możesz nam dać prawdziwe wiadomości o hultaju Pugaczowie i o jego wojsku, tymczasem idź i odpocznij”.

Udałem się na przeznaczoną mi kwaterę, gdzie Sawielicz zdążył już się rozgospodarować, i z niecierpliwością jałem oczekiwać oznaczonej godziny. Czytelnik łatwo sobie wyobrazi, że nie omieszkałem przyjść na naradę, mającą tak przemożnie wpłynąć na moje losy. O oznaczonej godzinie stawiłem się u generała.

Zastałem tam jednego z miejscowych urzędników – dyrektora komory celnej, o ile pomnę – otylego, rumianego staruszka w brokatowym kaftanie. Począł mnie rozpytywać o los Iwana Kuźmicza, zowiąc go kumem, i często przerywał mi zadając pytania i czyniąc pouczenia,

które, jakkolwiek nie zdradzały w nim człowieka obznajmionego ze sprawami wojskowymi, świadczyły jednak o zmyśle orientacyjnym i zdrowym rozsądku. Tymczasem zeszli się i inni zaproszeni. Gdy wszyscy zasiedli i każdy otrzymał filiżankę herbaty, generał jasno i obszernie wyłożył rzecz całą.

– A teraz panowie – mówił – należy zdecydować, jak mamy działać przeciw buntownikom: zaczepnie czy odpornie. Każdy z tych sposobów posiada dobre i złe strony. Działanie zaczepne daje nadzieję prędszego zniszczenia nieprzyjaciela; obronne – jest pewniejsze i bezpieczniejsze... A więc zaczniemy zbierać głosy według należącego porządku: tj. poczynając od najniższych rang. Panie podchorąży! – ciągnął zwracając się ku mnie – proszę wypowiedzieć swoje zdanie.

Wstałem i w krótkich słowach scharakteryzowawszy Pugaczowa i jego szajkę oznajmiłem stanowczo, że samozwaniec nie zdoła oprzeć się regularnej armii.

Zdanie moje ogół urzędników przyjął z widoczną niechęcią. Widziano w nim porywczosć i zuchwalstwo młodzieniaszka. Rozległ się szmer niezadowolenia, usłyszałem wyraźnie słowo „młokos” wypowiedziane przez kogoś tam półgłosem. Generał zwrócił się do mnie i rzekł z uśmiechem:

– Panie podchorąży! Na radach wojskowych pierwsze głosy padają zwykle na rzecz działań zaczepnych: to zwykły porządek. Zaczniemy teraz w dalszym ciągu zbierać głosy. Panie radco kolegiálny, proszę wypowiedzieć swoje zdanie.

Staruszek w brokatowym kaftanie śpiesznie dopił trzecią już filiżankę, obficie zakropioną rumem, i odparł generałowi:

– Sądzę, wasza ekscelencjo, że nie należy działać ani zaczepnie, ani odpornie.

– Jakże więc, panie radco kolegiálny? – odrzekł ze zdumieniem generał. – Innych metod taktyka nie zna: ruch zaczepny lub odporny.

– Wasza ekscelencjo, należy wybrać ruch podkupny.

– E–he–he! Uwaga pańska jest nader rozsądna. Ruchy podkupne taktyka toleruje i skorzystamy z pańskiej rady. Można będzie nałożyć cenę na głowę hultaja... rubli siedemdziesiąt czy nawet sto... z sum sekretnych...

– A wtedy – przerwał dyrektor komory – bodajem był baranem kirgiskim, nie zaś radcą kolegiálnym, jeśli ci złoczyńcy nie wydadzą nam swego atamana, skutego od stóp do głów.

– Pomyślmy o tym jeszcze i pogadamy – odparł generał. – Należy jednak na wszelki wypadek zastosować i wojskowe metody. Panowie, proszę o głosy według należącego porządku.

Wszystkie opinie okazały się sprzeczne z moją. Wszyscy urzędnicy mówili o niepewnym nastroju wojska, o wątpliwym powodzeniu, o ostrożności itp. Wszyscy mniemali, że rozsądniej trwać za mocną ścianą kamienną pod osłoną armat niż próbować szczęścia w orężnym spotkaniu w otwartym polu. Wreszcie generał wysłuchawszy wszystkich opinii i wytrząsnawszy popiół z fajki wypowiedział przemowę następującą:

– Panowie! Winienem wam wyjaśnić, że z mojej strony zgadzam się najzupełniej ze zdaniem pana podchorążego, albowiem opiera się ono na wszystkich prawidłach zdrowej taktyki, które niemal zawsze przenoszą działanie zaczepne nad odporne.

W tym miejscu zatrzymał się i jał napychać tytoniem fajkę. Moja miłość własna triumfowała. Spojrzałem dumnie na urzędników, którzy, niezadowoleni i niespokojni, szeptali coś między sobą.

– Lecz, moi panowie – ciągnął generał, wraz z westchnieniem wypuszczając z ust gęsty kłąb dymu – nie śmiem brać na siebie tak wielkiej odpowiedzialności, gdy rzecz idzie o bezpieczeństwo prowincji, powierzonej mej pieczy przez jej cesarską mość najmiłościwszą moją panią. A więc zgadzam się z większością głosów, które orzekły, że najbezpieczniej i najrozsądniej postąpimy oczekując w mieście oblężenia i odpierając wroga ogniem artylerii oraz – o ile to okaże się możliwe – wypadami.

Teraz urzędnicy spojrzeli na mnie z drwiącym uśmiechem. Rada była skończona. Nie mogłem nie ubolewać nad słabością czcigodnego wojaka, co wbrew własnemu przekonaniu zdecydował się działać zgodnie z opinią ludzi nieświadomych rzeczy i niedoświadczonych.

W kilka dni po owej sławnej naradzie dowiedzieliśmy się, że wiemy swej obietnicy Pugaczow zbliża się do Orenburga. Ujrzałem wojsko buntowników z murów miasta. Wydało mi się, że liczebność jego dziesięciokrotnie zwiększyła się od czasu ostatniego szturm, którego byłem świadkiem. Mieli ze sobą i artylerię, zebraną z małych, już zdobytych przez Pugaczowa twierdz. Przypomniawszy sobie decyzję rady wojennej przewidywałem długotrwałe zamknięcie w orenburskich murach i omal nie płakałem ze złości.

Nie będę opisywał oblężenia Orenburga: to rzecz historii, nie pamiętników domowych. Pokrótkę powiem, że to oblężenie skutkiem nieostrożności władz wojskowych zgubne było dla mieszkańców, narażonych na głód i różne cierpienia. Łatwo wyobrazić sobie, że życie w mieście było nieznośne. Wszyscy z poępnym smutkiem oczekiwali wyroku losu; wszyscy skarżyli się na drożyznę, w istocie okropną. Mieszkańcy przyzwyczaili się do spadających na ich podwórza pocisków; nawet szturm Pugaczowa nie budziły już ciekawości. Umierałem z nudów. Czas mijał. Listów z twierdzy Biełogorskiej nie otrzymywałem. Wszystkie drogi były zamknięte. Rozłąka z Marią Iwanowną była mi nieznośna. Nieświadomość jej losu dręczyła mnie. Jediną rozrywką stały się dla mnie podjazdy. Z łaski Pugaczowa miałem dobrego konia, z którym dzieliłem się moją skromną strawą i na którym wyjeżdżałem codziennie za mury, by postrzelać do buntowników. Przewagę w tych harcach mieli zwykle wrogowie, syci, pijani i na dobrych siedzący koniach. Chuda konnica miejska nie mogła ich przemóc. Wychodziła czasem w pole i nasza wygłodzona piechota, lecz obfitość śniegu przeszkadzała jej w działaniu przeciw atakującym w rozsypce napastnikom. Artyleria na próżno grzmiała z wału, w polu zaś więzła i ruszać się nie mogła skutkiem przemęczenia koni. Taki był obraz naszych wojennych działań! Oto co nazywało się ostrożnością i rozsądkiem w ustach urzędników orenburskich.

Pewnego razu, gdy udało nam się jakoś rozproszyć i odpędzić dość liczną bandę, naskoczyłem na Kozaka, co się odbił od swoich towarzyszy; gotów już byłem uderzyć go turecką szablą, gdy nagle zdjął czapkę i zakrzyknął:

– Witaj, Piotrze Andrieiczu! Jak się panu powodzi?

Spojrzałem i poznałem naszego podoficera. Ucieszyłem się niezmiernie.

– Witaj Maksimycz – rzekłem. – Czy dawno wyjechałeś z Biełogorskiej?

– Niedawno, dobrodzieju Piotrze Andrieiczu, wczoraj dopiero wróciłem. Mam do pana liścik.

– Gdzie on, dawaj! – krzyknąłem rumieniąc się.

– Mam go przy sobie – odparł Maksimycz sięgając ręką za pazuchę. – Obiecałem Pałaszce, że jakoś go dostarczę.

I podawszy mi złożony papier, uciekł natychmiast. Otworzyłem list i z drżeniem przeczytałem, co następuje:

„Wolą Bożą było pozbawić mnie nagle ojca i matki; nie mam na ziemi ani krewnych, ani opiekunów. Udaję się do Pana, wiedząc, że mi Pan zawsze był życzliwy i że gotów Pan pomóc każdemu człowiekowi. Błagam Boga, by list ten dostał się jakoś do Pańskich rąk! Maksimycz obiecał go Panu doręczyć. Pałasza słyszała również od Maksimycza, że widuje on Pana często z oddali na wypadach i że Pan zupełnie się nie strzeże i nie myśli o tych, co ze łzami modlą się za Pana. Długo chorowałam, a gdym wyzdrowiała, Aleksy Iwanowicz, nasz komendant na miejsce zmarłego ojczulka, zmusił ojca Gierasima, nastraszywszy go Pugaczowem, by mnie wydał w jego ręce. Mieszkam teraz w naszym domu pod strażą; Aleksy Iwanowicz zmusza mnie, bym wyszła za niego za męża. Mówi, że uratował mi życie, ponieważ ukrył oszustwo Akuliny Pamfilowny, która powiedziała zbójom, jakobym była jej

siostrzenicą. Ale łatwiej by mi było umrzeć niż stać się żoną takiego jak on człowieka. Postępuje ze mną okrutnie i odgraża się, że jeśli się nie namyślę i nie zgodzę, to zawiezie mnie do obozu zbója i stanie się ze mną to, co z Elżbietą Charłową. Prosiłam go, by zostawił mi czas do namysłu. Zgodził się czekać jeszcze tydzień, a gdy potem nie wyjdę zań, nie będzie miał dla mnie żadnej litości. Piotrze Andrieiczu! Tyś jedynym moim opiekunem; wstaw się za mną biedną. Uproś generała i wszystkich komendantów, by przysłali nam co prędzej jakiś sukurs, a i sam, jeśli możesz, przyjedź. Pokornie prosi Pana o to biedna sierota Maria Mironow”.

Omiał nie oszalałem przeczytawszy powyższy list. Popędziłem do miasta, niemiłosiernie bodąc ostrogami biednego konia. Przez drogę snułem przeróżne projekty ocalenia biednej dziewczyny, ale nic nie mogłem wymyślić. Dostawszy się do miasta, udałem się wprost do generała i wpadłem doń jak szalony.

Generał chodził po pokoju pałac swą piankową fajkę. Ujrzawszy mnie zatrzymał się. Wygląd mój uderzył go widocznie: troskliwie jął mnie wypytywać o przyczynę spieszego przybycia.

– Wasza ekscelencjo – rzekłem – przybiegłem do pana jak do ojca rodzzonego; na Boga, nie odrzucaj mojej prośby: rzecz idzie o szczęście całego mojego życia.

– Cóż takiego, mój kochany? – spytał zdumiony starzec. – Cóż mogę uczynić dla ciebie? Mów!

– Wasza ekscelencjo, rozkaż mi wziąć rotę żołnierzy i pół setki Kozaków i wyślij mnie, bym odbił twierdzę Biełogorską, Generał spojrział na mnie uważnie, przypuszczając zapewne, że stracił zmysły (w czym nie mylił się zbytnio).

– Jakże tak? Odbić twierdzę Biełogorską? – zapytał wreszcie.

– Ręczę za rezultat – odparłem z zapalem. – Tylko proszę mnie puścić!

– Nie, młodzieńcze – odpowiedział wstrząsając głową. – Na tak znacznej odległości nieprzyjacielowi łatwo przyjdzie odciąć cię od głównego punktu strategicznego i odnieść nad tobą zupełne zwycięstwo. Brak łączności...

Zląkłem się widząc, że wdał się w rozprawę strategiczną, i pospieszyłem mu przerwać.

– Córka kapitana Mironowa – rzekłem – pisze list do mnie: prosi o pomoc; Szwabrin zmusza ją do małżeństwa.

– Czyżby? O, ten Szwabrin to wielki *Schelm*, i jeśli wpadnie mi w ręce, każę go sądzić w dwadzieścia cztery godziny i rozstrzelamy go na wale fortecznym! Lecz tymczasem trzeba zdobyć się na cierpliwość.

– Cierpliwość! – krzyknąłem tracąc panowanie nad sobą. – A on tymczasem ożeni się z Marią Iwanowną.

– O! – odparł generał. – To jeszcze nic strasznego, lepiej dla niej tymczasem stać się żoną Szwabrina; na razie otoczy on ją swą protekcją, a gdy go rozstrzelamy, wtedy, da Bóg, znajdą się inni amatorowie. Miłe wdówki nie zardzewieją w dziewiczym stanie, tj. chciałem rzec, że lepiej wdówce znaleźć męża niż pannie.

– Wolę śmierć – zakrzyknąłem wściekły – niż ustąpić ją Szwabrinowi.

– Ba, ba, ba! – rzekł stary. – Teraz rozumiem: widocznie kochasz się w Marii Iwanownie. O, to sprawa inna! Biedny chłopiec! A jednak w żaden sposób nie mogę ci dać rotę żołnierzy i pół setki Kozaków. Byłaby to ekspedycja nierozsądna; nie mogę wziąć jej na swoją odpowiedzialność.

Zwiesiłem głowę; rozpacz mnie ogarnęła. Nagle błysnęła mi myśl: na czym polegała, czytelnik ujrzy w następnym rozdziale, jak mówią dawni romansopisarze.

Rozdział jedenasty

Buntownicza swoboda

W tym czasie lew był syty, choć zwierz wielce srogi.
„Po cóżeś raczył wstąpić, łaskawco, w moje progi?”
Zapytał grzecznie...

A. Sumarokow

Wyszedłem od generała i spiesznie udałem się do siebie. Sawielicz przywitał mnie zwykłymi swoimi uwagami: „Że też chce ci się, panie, zadawać z pijanymi zbójcami! Czy to przystoi panu? Na dwoje babka wróżyła: zginiesz marnie bez potrzeby. I żeby to jeszcze Turki albo Szwedy, a to aż wstyd pomyśleć, co za jedni!”

Wstrzymałem potok jego wymowy zapytaniem:

– Ile mi wszystkiego zostało pieniędzy?

– Wystarczy – odpowiedział z zadowoleniem. – Choć te łotry bobrowały bez wstydu, udało mi się to ściągnąć. – I z tymi słowami wyjął z kieszeni długi, na drutach robiony woreczek pełen srebra.

– No, Sawielicz – rzekłem – oddaj mi teraz połowę, a resztę weź sobie. Jadę do twierdzy Biełogorskiej.

– Najmilszy Piotrze Andrieiczu! – rzekł drżącym głosem – a bójże się Boga! Jakże to wybierasz się teraz w podróż, kiedy na wszystkich drogach pełno zbójów! Zlituj się choć nad rodzicielami twymi, jeśli dla siebie nie masz zmiłowania. Dokąd chcesz jechać? Po co? Wstrzymaj się chwilkę: przyjdzie wojsko, wyłowi zbójów, a wtedy jedź sobie w świat. Lecz postanowienie moje było niezłomne.

– Nie czas rezonować – odpowiedziałem staruszkowi. – Powiniennem jechać, nie mogę nie jechać. Nie martw się Sawielicz, Bóg łaskaw, a nuż zobaczymy się jeszcze! Pamiętaj, nie bądź zbyt skrupulatny i nie skąp. Kupuj, co ci potrzeba, choćbyś płacił podwójnie. Pieniądze te daruję ci. Jeśli nie wrócę za trzy dni...

– Cóż to, panie? – przerwał mi Sawielicz. – Ja miałbym cię puścić samego? Niech ci się nawet nie śni! Jeżeli już postanowił jechać, to ja choć piechotą pójdę za tobą, ale nie porzucę cię. Ja miałbym siedzieć bez ciebie za kamiennym murem! A czy mi się rozum pomieszał? Twoja wola, panie, lecz ja cię nie opuszczę.

Wiedziałem, że z Sawieliczem nie ma co się spierać, i pozwoliłem, by się szykował do podróży. Po upływie pół godziny siadłem na swego dobrego konika, Sawielicz zaś na chudą i chromą klacz, którą darmo oddał mu pewien mieszczanin, nie mający już środków na jej karmienie.

Przyjechaliśmy do bramy miejskiej; warta puściła nas, wyjechaliśmy z Orenburga.

Zapadał zmierzch. Droga biegła koło Berdzkiej slobody, siedliska Pugaczowa. Właściwa droga zawiana była śniegiem, lecz na całym stepie widniały ślady koni, codziennie się odnawiające. Jechałem szybkim kłusem. Sawielicz ledwie mógł nadążyć za mną i z daleka wołał co chwila:

„Wolniej panie, na Boga, wolniej! Moje przeklęte klaczysko nie nadąży za twoim długonogim biesem. Dokąd ci tak pilno? Żebyż to jeszcze na bal, a to pod obuch, nie przymierzając... Piotrze Andrieiczu... dobrodzieju Piotrze Andrieiczu! Święty Boże, zginie pańskie dziecko!”

Wkrótce rozblły światła Berdy. Podjechaliśmy ku parowom, naturalnym fortyfikacjom slobody. Sawielicz podążał za mną nie przerywając swych żalonych wyrzekań. Miałem nadzieję ominąć szczęśliwie slobodę, gdy nagle ujrzałem przed sobą pięciu w pałki-uzbrojonych chłopów: była to przednia warta obozowiska Pugaczowa. Zawołano nas. Nie znając hasła, chciałem ominąć ich w milczeniu, lecz otoczono mnie natychmiast i jeden z nich chwycił mego konia za uzdę. Wydobyłem szablę i uderzyłem chłopą po głowie; czapka uratowała go, zachwiał się jednakże i wypuścił uzdę z rąk. Inni zmieszali się i odbiegli; skorzystałem ze sposobności, spiąłem konia ostrogami i pomknąłem.

Ciemność zapadającej nocy mogła mnie wyratować, gdy nagle obejrzawszy się spostrzegłem, że Sawielicza nie ma. Biedny stary nie mógł na chromej klaczy uciec od zbójów. Cóż było robić? Przeczekawszy kilką minut i przyszedłszy do przekonania, że go schwytano, zawróciłem konia i pomknąłem mu na odsiecz.

Gdym podjeżdżał do parowu, usłyszałem z oddali hałas, krzyki i głos Sawielicza. Popędziłem konia i znalazłem się wkrótce znów wśród strażujących chłopów, którzy zatrzymali mnie przed kilku minutami. Sawielicz znajdował się wśród nich. Ściągnęli starca z klaczy i szykowali się do związania go. Przybycie moje uradowało ich. Z krzykiem rzucili się na mnie i natychmiast ściągnęli z konia. Jeden z nich, widocznie przywódca, zapowiedział, że natychmiast zaprowadzi nas do monarchy. „Nasz ojciec zaś – dodał – wedle swej woli postanowi, czy mamy was wieszać zaraz, czy czekać na światło boże”. Nie sprzeciwiałem się; Sawielicz poszedł za moim przykładem i wartownicy poprowadzili nas z triumfem.

Przedostaliśmy się przez parów i weszliśmy do slobody. We wszystkich chatach świeciło się. Hałas i krzyki rozlegały się zewsząd. Na ulicy spotkałem mnóstwo ludzi, lecz nikt w ciemności nie zauważył i nie poznał we mnie oficera z Orenburga. Zaprowadzono nas wprost do chaty, stojącej na skrzyżowaniu ulic. Przed bramą stało kilka beczek z winem i dwie armaty.

– Oto i pałac – rzekł jeden z chłopów – natychmiast zameldujemy o was.

Wszedł do chaty. Spojrzałem na Sawielicza; Starzec zęgnął się odmawiając po cichu modlitwy. Czekałem długo, chłop wrócił nareszcie i rzekł:

— Idź, ojciec nasz kazał wpuścić oficera. Wszedłem do chaty, czyli do „pałacu”, jak zwali ją chłopci. Oświecały ją dwie świece łożowe, ściany zaś wyklejone były złotym papierem; reszta – ławki, stół, umywalnia na sznurku, ręcznik na gwoździu, wiadro w kącie i szeroka zastawiona garnkami półka – wszystko, jak w zwykłej chacie. Pugaczow siedział pod ikonami, w czerwonym kaftanie, w wysokiej czapce, z powagą trzymając się pod boki. Koło niego stało kilku głównych jego towarzyszy z wyrazem udanego szacunku. Widać było, że wieść o przybyciu z Orenburga oficera mocno ich zaciekawiła i że postanowili przyjąć mnie uroczystie. Pugaczow poznał mnie od pierwszego spojrzenia. Udana jego powaga nagle znikła.

– A, wasza wielmożność! – żywo przemówił do mnie. – Co słyhać? Z czym to Pan Bóg prowadzi?

Odpowiedziałem, że jechałem w swoich sprawach i że jego ludzie zatrzymali mnie.

– A jakież to sprawy? – spytał.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Przypuszczając, że nie chcę zwierzać się przy

świadcach, zwrócił się do towarzyszy i kazał im wyjść. Wszyscy byli posłuszni, z wyjątkiem dwóch, którzy nie ruszyli się z miejsc.

– Mów przy nich śmiało – rzekł mi Pugaczow – nie mam wobec nich tajemnic.

Spojrzałem z ukosa na powierników samozwańca. Jeden z nich, szczupły i zgarbiony staruszek z siwą bródką, nie miał w sobie nic godnego uwagi prócz błękitnej wstęgi, przewieszanej przez ramię na szarym giernaku. Lecz do śmierci nie zapomnę jego towarzysza. Wzrostu wysokiego, dorodny, o szerokich barach, wyglądał na lat czterdzieści pięć. Gęsta ruda broda, szare błyszczące oczy, nos bez nozdrzy i czerwone plamy na czole i policzkach nadawały jego ospowatej, szerokiej twarzy wyraz nieopisany. Ubrany był w czerwoną koszulę, płaszcz kirgiski i kozackie szarawary. Pierwszy (jak dowiedziałem się później) był zbiegłym kapralem, nazwiskiem Biełoborodow; drugi – Anastazy Sokołow (zwany Chłopuszą) był zesłanym przestępcą, który trzy razy uciekał z syberyjskiej kopalni. Bez względu na panujące w moim sercu uczucia, towarzystwo, w którym tak niespodziewanie się znalazłem, mocno działało mi na wyobraźnię. Lecz Pugaczow przywołał mnie do porządku zapytaniem:

– Mów, dla jakich to spraw wyjechałeś z Orenburga?

Dziwna myśl błysnęła mi w głowie: wydało mi się, że Opatrzność, po raz drugi kierując mnie do Pugaczowa, pozwalała mi spełnić moje zamiary. Postanowiłem skorzystać ze sposobności i nie zdążywszy obmyśleć tego, com zamierzał, odpowiedziałem na pytanie Pugaczowa:

– Jechałem do twierdzy Biełogorskiej, by wybawić sierotę, którą tam krzywdzą. Oczy Pugaczowa rozbłysły.

– Kto z moich ludzi śmie krzywdzić sierotę? – krzyknął. – Choćby miał łeb jak stodoła, nie ujdzie mego sądu. Mów, kto winien?

– Szwabrin winien – odpowiedziałem. – Więzi w niewoli tę dziewczynę, którą widziałeś chorą u popadii, i chce się żenić z nią przemocą.

– Nauczę ja Szwabrina! – groźnie rzekł Pugaczow. – Przekona się, co znaczy u mnie swawolić i krzywdzić lud. Powieszę go.

– Racz tylko słówko powiedzieć – rzekł Chłopusza ochryplym głosem. – Pospieszyleś się mianując Szwabrina komendantem twierdzy, a teraz pilno ci go wieszać. Obraziłeś już Kozaków dając im szlachcica na naczelnika; teraz znów chcesz przerazić panów karząc ich przy pierwszej obmowie.

– Nie ma co litować się nad nimi ani darzyć ich łaską! – rzekł staruszek w błękitnej wstędze. – Szwabrina ukarać byłoby nieźle, nie szkodziłoby też wypowiedzieć uczucie pana oficera, po co raczył nas odwiedzić. Jeśli nie uznaje cię za monarchę, nie powinien szukać u ciebie sprawiedliwości; jeśli zaś uznaje, to czemu siedział do dziś dnia w Orenburgu razem z twoimi wrogami? Czy nie rozkażesz zaprowadzić go do sądu i przypiec mu podeszwy? Zdaje mi się, że jego miłość przysłali na wywiad komendanci orenburscy.

Logika starego łotra wydawała mi się dość przekonywująca. Mróz przebiegł mi po ciele na myśl, w czyich to rękach się znajduję. Pugaczow zauważył moje pomieszanie.

– Cóż, wasza wielmożność? – rzekł do mnie mrugając oczyma. – Feldmarszałek mój, zdaje mi się, mówi do rzeczy. Jak myślisz?

Drwina Pugaczowa wróciła mi śmiałość. Spokojnie odpowiedziałem, że jestem w jego mocy i że wolno mu ze mną postąpić, jak mu się podoba.

– Dobra – rzekł Pugaczow. – A teraz powiedz, w jakim stanie znajduje się wasze miasto.

– Chwała Bogu – odparłem – wszystko idzie jak najlepiej.

– Jak najlepiej? – powtórzył Pugaczow. – A lud mrze z głodu.

Samozwaniec mówił prawdę, lecz ja z obowiązku jałem zapewniać, że wszystko to czcze pogłoski i że Orenburg posiada dość wszelkich zapasów.

– Widzisz – wtrącił się staruszek – że kłamie ci w żywe oczy. Wszyscy zbiegowie zeznają

zgodnie, że w Orenburgu głód i mór, że karmią się tam padliną, a i to uważają sobie za szczęście; zaś jego miłość zapewnia, że panuje tam obfitość. Skoro chcesz powiesić Szwabrina, to powieś jednocześnie na teźbę szubienicy i tego zucha, żeby nie było zazdrości.

Słowa przekłętogo dziada zachwiały, zdawało się, pewność Pugaczowa. Na szczęście Chłopusza jął przeczyć swemu towarzyszowi.

– Dosyć Naumycz – rzekł. – Ty byś tylko rznął i dusił. I co z ciebie za bohater? Popatrzeć – nie wiadomo w czym się dusza trzyma. Sam nad grobem stoisz, a innych chcesz gubić. Małoż to krwi masz na sumieniu?

– A z ciebie co za święty? – odparł Bieloborodow. – Skądże to wzięła się u ciebie litość?

– Słusznie – odrzekł Chłopusza – i ze mnie grzesznik, i ta ręka – tu zwinął w pięść kościstą dłoń i odwinąwszy rękaw pokazał kosmate ramię – i ta ręka ubroczyła się krwią chrześcijańską. Lecz zabijałem przeciwnika, nie gościa, na wolnym rozstaju albo też w ciemnym lesie, nie zaś w domu, siedząc za piecem; kiścieniem lub obuchem, nie zaś obmową babską.

Stary odwrócił się i warknął:

– Szarpane nozdrza!...

– Co ty tam szepczesz, stary grzybie? – krzyknął Chłopusza. – Dam ja ci „szarpane nozdrza”, czekaj, przyjdzie czas i na ciebie: da Bóg i ty powąchasz kleszczy. Tymczasem zaś uważaj, bym ci bródki nie wyrwał!

– Panowie generałowie! – wygłosił z powagą Pugaczow – dość tych kłótni. Nieźle by było, gdyby wszystkie psy orenburskie drygały nogami na jednej szubienicy – źle, gdy nasze zaczną gryźć się wzajemnie. No, pogódźcie się.

Chłopusza i Bieloborodow chmurnie spoglądali na siebie. Uznałem za konieczne zmienić temat rozmowy, która mogła skończyć się w sposób dla mnie nader niedogodny, i zwracając się wesoło do Pugaczowa rzekłem:

– Ach, zapomniałem ci podziękować za konia i kozuch. Bez nich nie dowlóklbym się do miasta i zamarzyłbym gdzieś po drodze.

Podstęp mój udał się. Pugaczow nabrał humoru.

– Zapłata dług uzacnia – rzekł mrugając oczyma i mrużąc je. – Opowiedzże mi teraz, co ci tak pilno do tej dziewczynki, którą krzywdzi Szwabrin? Czyżby zraniła serce młodego junaka, co?

– To moja narzeczona – odpowiedziałem widząc zmianę pogody na lepsze i nie znajdując przyczyny do ukrywania prawdy.

– Twoja narzeczona! – wykrzyknął Pugaczow. – Czemu wcześniej nie powiedziałeś o tym. Ależ my cię ożenimy i pohulamy na weselisku! – Potem zwracając się do Bieloborodowa: – Słuchaj, feldmarszałku! My i jego wielmożność to dwaj starzy przyjaciele; siadajmy i jedzmy wieszczę: noc przynosi dobrą radę. Jutro zobaczymy, co mamy z nim zrobić.

Chętnie byłbym wymówił się od tego zaszczytu, lecz nie było rady. Dwie młode Kozaczki, córki właściciela chaty, nakryły stół białym obrusem, przyniosły chleb, zupę rybną, kilka butelek wódki i piwa i oto po raz drugi znalazłem się na uczcie z Pugaczowem i jego starszymi towarzyszami.

Orgia, której byłem mimowolnym świadkiem, ciągnęła się długo w noc. Pijaństwo zmogło wreszcie biesiadników. Pugaczow zdrzemnął się siedząc na miejscu; towarzysze jego wstali i dali mi znak, bym go opuścił. Wyszedłem wraz z nimi. Na rozkaz Chłopuszy wartownik zaprowadził mnie do kancelarii, gdzie znalazł się również Sawielicz i gdzie zostawiono nas we dwu pod kluczem. Opiekun mój był tak zdumiony na widok tego, co się działo, że nie zadał mi żadnego pytania. Legł na posłaniu po ciemku i długo wzdychał i stękał, nim zachrapał wreszcie, ja zaś pogrążyłem się w rozmyślaniach, które przez noc całą nie dały mi zdrzemnąć się ani na chwilę.

Rankiem wezwano mnie do Pugaczowa. Poszedłem. U wrót stała kibitka zaprzężona w

trójkę tatarskich koni. Lud tłoczył się na ulicy. W sieni spotkałem Pugaczowa; ubrany był jak do podróży: miał na sobie szubę i czapkę kirgiską. Wczorajsi towarzysze otaczali go w postawach pełnych szacunku, co mocno sprzeciwiało się wszystkiemu, czegom był świadkiem w przeddzień. Pugaczow przywitał mnie wesoło i kazał mi siąść wraz z nim do kibitki.

Siedliśmy.

– Do twierdzy Biełogorskiej! – rzekł Pugaczow do barczystego Tatara, co stojąc powoził trójką. Serce zabiło mi mocno. Konie ruszyły, dzwonek zadzwieczał, kibitka pomknęła...

– Stój! stój! – rozległ się głos aż nadto mi znany i ujrzałem Sawielicza biegnącego ku nam. Pugaczow kazał zatrzymać.

– Dobrodzieju Piotrze Andrieiczu! – krzyczał starzec. – Nie porzucaj mnie na starość wśród tych łot...

– A, stary grzyb! – rzekł Pugaczow. – Znów Pan Bóg nas zetknął. No, siadaj na koźle.

– Dzięki ci, panie! Dzięki ci, ojczyźnie! – mówił Sawielicz sadowiąc się – Daj ci Boże sto lat szczęścia, żeś mnie starego przygarnął i uspokoił. Wiecznie będę modlił się za ciebie, a o kubraku zajęcym ani nawet nie wspomnę.

Ten kubrak zajęczy mógł nie na żarty rozgniewać Pugaczowa. Na szczęście, samozwaniec albo nie dosłyszał, albo też puścił mimo uszu niestosowną uwagę. Konie mknęły, lud na ulicy zatrzymywał się i kłaniał w pas. Pugaczow kiwał głową na obie strony. Po chwili wyjechaliśmy ze slobody i ruszyliśmy gładką drogą.

Łatwo sobie wyobrazić, com czuł w owej chwili. Za kilka godzin miałem ujrzeć tę, którą uważałem już za straconą dla siebie. W wyobraźni widziałem chwilę naszego spotkania. Myślałem i o tym człowieku, co miał mój los w swoich rękach i który dziwacznym zbiegiem okoliczności związał się ze mną tajemniczym węzłem. Przyszły mi na myśl okrucieństwa, krwawe instynkty tego, kto podjął się być wybawcą mojej ukochanej! Pugaczow nie wiedział, że była to córka kapitana Mironowa; rozwścieczony Szwabrin mógł wyjawić mu wszystko. Pugaczow mógł dowiedzieć się prawdy i w inny sposób... A wtedy – cóż stanie się z Marią Iwanowną? Mróz wstrząsnął mną i włosy stanęły dęba...

Nagle Pugaczow przerwał swe rozmyślenia zwracając się do mnie z zapytaniem:

– O czym to wasza wielmożność raczy rozmyślać?

– Jak tu nie rozmyślać – odparłem – jestem oficerem, szlachcicem, wczoraj walczyłem z tobą, a dziś jedziemy razem w jednej kibitce i szczęście całego mojego życia zależy od twojej woli.

Cóż? – spytał Pugaczow. – Lękasz się?

Odparłem, że raz doznawszy jego łaski, spodziewałem się nie tylko tego, że mnie oszczędzi, lecz że mi też pomoże.

– I masz słusność, klnę się na Boga, masz słusność! Widziałeś, jak moi chłopcy krzywo patrzyli na ciebie, a stary i dziś jeszcze twierdzi uparcie, że jesteś szpiegiem i że należy wziąć cię na tortury i powiesić; lecz nie zgodziłem się – dodał zniżając głos, ażeby Sawielicz i Tatar nie mogli słyszeć – pamiętałem twoją szklanę wódki i kubrak zajęczy. Widzisz więc, że ze mnie nie taki jeszcze krwiopijca, jak głosi o mnie twoja brać.

Przypomniało mi się wzięcie twierdzy Biełogorskiej, lecz uważałem za konieczne nie zaprzeczać mu i nie odparłem ani słowa.

– Cóż mówią o mnie w Orenburgu? – spytał po chwili milczenia.

– A mówią, że sprawa z tobą niełatwa; nie ma co, dałeś się we znaki.

Na twarzy samozwańca pojawił się wyraz zadowolonej miłości własnej.

– Tak! – rzekł wesoło. – Wojuję aż miło. Czy wiedzą w Orenburgu o bitwie pod Juzejewą? Czterdziestu generałów zabitych, cztery armie do niewoli wzięte. Jak myślisz: czy król pruski mógłby zmierzyć się ze mną? Samochwalstwo zbója ubawiło mnie.

– A ty sam, jak myślisz – rzekłem – dałbyś sobie z Fryderykiem radę?

– Z Fiodorem Fiodorowiczem? A czemuż by nie? Poradziłem sobie z waszymi generałami, a oni bijali go przecie. „Dotychczas szczęściło się memu orężowi. Poczekaj, nie takie ujrysz jeszcze rzeczy, gdy pójde na Moskwę.

– A ty masz zamiar iść na Moskwę? Samozwaniec zamyślił się nieco i rzekł półgłosem:

– Bóg wie. Ciasno mi: swobody mam mało. Chłopcy moi mędrkują. To zbóje. Muszę dobrze strzyc uszami; przy pierwszym niepowodzeniu wykupią swoje szyje za cenę mej głowy.

– Otóż to! – rzekłem. – Czyż nie lepiej samemu zerwać z nimi zawczasu i odwołać się do miłosierdzia monarchini?

Pugaczow gorzko się” uśmiechnął.

– Nie – odpowiedział – za późno już na skruchę. Nie masz dla mnie łaski. Pójde dalej swoją drogą. Kto wie? A nuż się uda! Griszka Otriepiew panował przecie nad Moskwą.

– A wiesz ty, jak skończył? Wyrzucono go przez okno, zarżnięto, spalono, popiołem jego nabito armatę i wystrzelono!

– Słuchaj – rzekł Pugaczow w dzikim jakimś natchnieniu. – Bajkę ci opowiem, którą w dzieciństwie opowiadała mi stara Kałmuczka. Pewnego razu orzeł zapytał kruka: „Powiedz mi, ptaku–kruku, dlaczego ty żyjesz na świecie lat trzysta, a ja zaledwie trzydzieści trzy?” – „O, dlatego dobrodzieju – odparł kruk – że ty żywą krew pijesz, a ja karmię się padliną”. Orzeł pomyślał: „Ano, spróbuję i ja karmić się tak samo”. „Dobra”. Pofrunęli orzeł z krukami. Ot i ujrzeli padłego konia, sfrunęli na dół i siedli. Kruk dziobnął raz, drugi i chwali sobie potrawę. Orzeł dziobnął raz, drugi i rzekł do kruka: „Nie, kuku–bracie, zamiast lat trzysta karmić się padliną, lepiej raz napić się krwi żywej, a potem – jak Bóg da!” A co, jak ci się podobała ta bajeczka kałmucka?

– Zmyślna bardzo – odpowiedziałem. – Lecz żyć mordem i grabieżą znaczy według mnie karmić się padliną.

Pugaczow spojrział na mnie ze zdziwieniem i nic nie odpowiedział. Zamilkliśmy obaj, zatopieni we własnych myślach. Tatar zaśpiewał ponurą pieśń; Sawielicz drzemiac chwiał się na koźle. Kibitka mknęła gładką drogą zimową... Nagle spostrzegłem wioskę na spadzistym brzegu Jaiku – z częstokołem i dzwonnica – i po upływie kwadransa wjechaliśmy do twierdzy Biełogorskiej.

Rozdział dwunasty

Sierota

*Jak na naszej, na jabłonce
Nie masz liści ni wierzchołka;
Jak u naszej panny młodej
Nie masz ojca ani matki.
Nie masz, kto by ją zabawił,
Kto by biedną błogosławił.*

Pieśń weselna

Kibitka zajechała przed ganek domu komendanta. Lud poznał dzwonek Pugaczowa i tłumnie biegł za nami. Szwabrin powitał samozwańca na ganku; Przebrał się za Kozaka i zapuścił brodę. Zdrajca pomógł Pugaczowowi wysiąść z kibitki, nikczemnie wypowiadając swą radość i oddanie. Ujrawszy mnie zmieszał się nieco, lecz opanował się wkrótce i podał mi rękę mówiąc: „I ty z nami? Dawno już trzeba było!” – Odwróciłem się odeń i nic nie odrzekłem.

Serce mi się ścisnęło, gdy znaleźliśmy się w znanym mi od dawna pokoju, gdzie na ścianie wisiał jeszcze dyplom zmarłego komendanta niby smutny napis na grobie przeszłości. Pugaczow siadł na kanapie, na której kiedyś drzemał Iwan Kuźmicz, ukołysany zrządzeniem swej małżonki.

Szwabrin sam podał mu wódki. Samozwaniec wypił i rzekł wskazując na mnie:

– Poczęstuj i jego wielmożność.

Szwabrin podszedł do mnie z tacką, lecz ja po raz wtóry odwróciłem się odeń. Był całkiem wytrącony z równowagi. Przy zwykłej swej bystrości domyślał się bez wątpienia, że Pugaczow jest z niego niezadowolony. Tchórzył więc przed nim, na mnie zaś spoglądał z niedowierzaniem. Pugaczow rozpytywał o stan twierdzy, o wieści o nieprzyjacielu i o tym podobne sprawy i nagle rzucił niespodziewanie:

– Powiedz, bracie, co to za dziewczynę trzymasz pod kluczem? Pokaż mi ją. Szwabrin zbladł jak trup.

– Hosudarze – rzekł drżącym głosem – hosudarze, ona nie pod kluczem... jest chora... leży w świetlicy.

– Prowadźże mnie do niej – rzekł samozwaniec powstając z kanapy.

Niepodobna było odmówić. Szwabrin powiódł Pugaczowa do świetlicy. Ruszyłem za nim. Szwabrin zatrzymał się na schodach.

– Hosudarze! – rzekł – masz moc nakazać mi, co ci się podoba, lecz nie każ obcemu wchodzić do sypialni mojej żony.

Zatrząsałem się cały.

– A więc jesteś żonaty – rzekłem do Szwabrina, gotów go rozszarpać.
– Ciszej! – przerwał mi Pugaczow. – To moja rzecz. A ty – zwrócił się do Szwabrina – nie mądrz się i nie udawaj: żona nie żona, lecz ja wiodę do niej, kogo chcę. Wasza wielmożność, proszę za mną.

U drzwi świetlicy Szwabrin znów się zatrzymał i rzekł przerywanym głosem:

– Hosudarze! Uprzedzam, że ona leży w malignii i już trzeci dzień bredzi bez ustanku.

– Otwieraj! – rzekł Pugaczow.

Szwabrin jął szukać po kieszeniach i oznajmił, że nie wziął ze sobą klucza. Pugaczow pchnął drzwi nogą, zamek odskoczył, drzwi się rozwarły i weszliśmy.

Spojrzałem – i osłupiałem. Na podłodze, w obszarpanym odzieniu wieśniaczym siedziała Maria Iwanowna, blada, chuda, z włosami w nieładzie. Przed nią stał dzban z wodą, przykryty kawałkiem chleba. Ujrzawszy mnie, drgnęła i krzyknęła. Co się wówczas działo ze mną, nie pomnę.

Pugaczow spojrzał na Szwabrina i rzekł z gorzkim uśmiechem:

– Ładny masz lazaret! – Potem podszedł do Marii Iwanowny. – Powiedz mi, gołąbko, za co cię mąż twój karze? Cóżżeś zawiniła wobec niego?

– Mój mąż?! – powtórzyła. – To nie mój mąż. Nigdy nie zostanę jego żoną! Raczej na śmierć pójdę i umrę, jeśli mnie nie wyzwolą.

Pugaczow groźnie spojrzał na Szwabrina.

– I tyś śmiał mnie oszukiwać? – rzekł. – Wiesz, łotrze, na coś zasłużył?

Szwabrin padł na kolana. W tej chwili pogarda przesłoniła we mnie uczucie nienawiści i gniewu. Z obrzydzeniem patrzyłem na szlachcica tarzającego się u stóp zbiegłego Kozaka. Pugaczow zmiękł.

– Daruję ci tym razem – rzekł do Szwabrina – pamiętaj jednak, że jeśli jeszcze coś przeskrobiesz, przypomnę ci i to. – Zwrócił się potem do Marii Iwanowny i rzekł łaskawie: – Wychodź, piękna panno; daję ci wolność. Jestem hosudarem.

Maria Iwanowna rzuciła nań bystre spojrzenie i domyśliła się, że stoi przed nią zabójca jej rodziców. Zasłoniła twarz rękami i padła bez czucia. Skoczyłem ku niej, lecz w tej chwili wcisnęła się nader śmiało do pokoju stara moja znajoma Pałasza i poczęła krzątać się koło swej panienki. Pugaczow wyszedł ze świetlicy i zesliśmy we trzech do bawialni.

– Cóż, wasza wielmożność? – rzekł śmiejąc się Pugaczow. – Wyzwoliliśmy piękną pannę! Jak myślisz: czy nie posłać po popa i nie kazać mu, by dał ślub siostrzenicy? Ja zastąpię ojca pannie młodej. Szwabrin będzie drużbą; pohulamy, wypijemy, wrota zatrześniemy!

Stało się to, czegom się lękał. Słyszając słowa samozwańca, Szwabrin stracił panowanie nad sobą.

– Hosudarze! – krzyknął w zapamiętaniu. – Zawiniłem: skłamałem przed tobą, lecz i Griniow oszukuje ciebie. Ta panna nie jest siostrzenicą tutejszego popa; to córka Iwana Mironowa, powieszono go po wzięciu tej twierdzy.

Pugaczow zwrócił na mnie swoje płomienne oczy.

– A to co znów? – spytał zdumiony.

– Szwabrin powiedział ci prawdę – odrzekłem z mocą.

– Tyś mi tego nie mówił – zauważył Pugaczow z twarzą pochmurną.

– Rozsądź sam – odrzekłem – czyż można było w obecności twoich ludzi powiedzieć, że córka Mironowa żyje? Ależ oni zagryźliby ją. Nic by jej nie uratowało!

– Prawda i to – rzekł śmiejąc się Pugaczow. – Moi pijanice nie oszczędziliby biednej dziewczyny. Dobrze uczyniła kuma popadła, że ich oszukała.

– Posłuchaj – rzekłem widząc go w dobrym usposobieniu. – Jak mam cię zwać, nie wiem i wiedzieć nie chcę... Lecz Bóg mi świadkiem, że życiem chciałbym ci odplacić za to, coś uczynił dla mnie. Nie żądaj tylko tego, co jest przeciwne mojemu honorowi i sumieniu chrześcijańskiemu. Jesteś moim dobroczyńcą. Skończ, jakieś zaczął: puść mnie z biedną

sierotą, dokąd nam Bóg wskaże drogę. My zaś, gdziekolwiek byś się znalazł i cokolwiek by cię spotkało, co dzień modlić się będziemy o zbawienie twojej duszy...

Surowe serce Pugaczowa zdawało się być wzruszone.

– Niechże się stanie, jak mówisz! – rzekł. – Stracić to stracić, ułaskawić to ułaskawić: taki mój obyczaj. Bierz swoją piękność, wież ją, dokąd chcesz, i daj wam Boże miłość i zgodę!

Tu zwrócił się do Szwabrina i kazał wydać mi przepustkę na wszystkie rogatki oraz twierdze znajdujące się pod jego władzą. Złamany zupełnie, Szwabrin stał jak osłupiały. Pugaczow poszedł zlustrować twierdzę. Szwabrin towarzyszył mu, ja zaś, pod pozorem przygotowań do podróży, pozostałem.

Pobiegłem do świetlicy. Drzwi były zamknięte. Zapukałem.

– Kto tam? – spytała Pałasza. Wymieniłem nazwisko. Miły głosik Marii Iwanowny rozległ się spoza drzwi:

– Proszę poczekać, Piotrze Andrieiczu. Przebieram się. Niech pan idzie do Akuliny Pamfilowny: przyjdę tam zaraz.

Posłuchałem i udałem się do domu ojca Gierasima. I on, i popadła wybiegli na moje spotkanie. Sawielicz już ich uprzedził.

– Witaj, Piotrze Andrieiczu – mówiła popadia. – Bóg pozwolił nam spotkać się raz jeszcze. Co słychać? A myśmy wspominali tu o panu co dzień. A Maria Iwanowna nacierpiała się, biedaczka, przez pana, gołąbka moja!... Lecz powiedz mi, dobrodzieju, jakże to radzisz sobie z Pugaczowem! Jakim cudem cię nie zamordował? No, i dobrze! Dzięki łotrowi choć za to.

– Dosyć, stara – przerwał ojciec Gierasim. – Trzymaj język za zębami! Nie w gadulstwie zbawienie. Piotrze Andrieiczu! Wejdz, prosimy uprzejmie. Dawno, dawnośmy się nie widzieli.

Popadia jeła częstować mnie, czym Bóg dał, mówiąc tymczasem bez ustanku. Opowiedziała, w jaki sposób Szwabrin zmusił ich do wydania Marii Iwanowny, jak Maria Iwanowna płakała i nie chciała rozstać się z nimi, jak komunikowała się z nimi co dzień za pośrednictwem Pałaszi (chwackiej dziewczyny, która i podoficerowi tak każe tańczyć, jak mu zagra), jak Pałasza poradziła Marii Iwanownie napisać list do mnie, itd. Ja ze swej strony opowiedziałem też pokrótce swoje przygody. Pop i popadia przeżegnali się słysząc, że Pugaczow wie o ich podstępie. „Chryste, zmiłuj się nad nami! – mówiła Akulina Pamfilowna. – Odpędź tę chmurę. Aj, aj, Aleksy Iwanycz, nie ma co mówić, ładny ptaszek”.

W tej chwili drzwi rozwarły się i z uśmiechem na bladej twarzy weszła Maria Iwanowna. Zrzuciła już chłopski ubiór i ubrała się po dawnemu: prosto i ładnie.

Chwyciłem ją za rękę i długo nie mogłem przemówić słowa. Milczeliśmy mając serca pełne uczucia. Gospodarze spostrzegli, że są zbyt cni, i wyszli z izby. Pozostaliśmy sami. Wszystko uległo zapomnieniu. Mówiliśmy i nie mogliśmy się nagadać. Maria Iwanowna opowiedziała mi wszystko, co się jej przydarzyło od chwili wzięcia twierdzy, opisała mi całą okropność swego położenia, wszystkie udreki, którym ją poddawał nikczemny Szwabrin. Przypominaliśmy sobie i dawne szczęśliwe chwile... Płakaliśmy oboje... Począłem wreszcie jej wyjaśniać nasze położenie. Pozostawać w twierdzy, znajdującej się pod władzą Pugaczowa i gdzie dowódcą był Szwabrin – było niemożliwe. Trudno było myśleć i o Orenburgu. Zaproponowałem jej, by jechała na wieś do moich rodziców. Wahala się początkowo: przerażała ją znana jej niechęć do niej mojego ojca. Uspokoilem jej obawy. Wiedziałem, że ojciec uważać będzie za szczęście i poczyta za obowiązek przyjąć córkę zasłużonego żołnierza, który zginął za ojczyznę.

– Droga Mario Iwanowno! – rzekłem wreszcie – uważam cię za moją żonę. Dziwne okoliczności złączyły nas na wieki: nic na świecie rozłączyć nas nie może.

Maria Iwanowna wysłuchała mnie z prostotą, bez udanej skromności, bez nieszczerých wymówek. Czula, że los jej złączony był z moim. Lecz powtórzyła, że zostanie moją żoną nie inaczej, jak za zgodą moich rodziców. Nie sprzeciwiałem się. Ucałowaliśmy – się gorąco,

szczerze – i w ten sposób wszystko między nami było rozstrzygnięte.

Po upływie godziny podoficer przyniósł mi przepustkę podpisaną gryzmołami Pugaczowa i wezwał mnie doń w jego imieniu. Znalazłem go przygotowanego do podróży. Nie mogę opisać, com czuł rozstając się z tym okropnym człowiekiem, wyrzutkiem, złoczyńcą dla wszystkich, z wyjątkiem mnie jednego. Czemuż nie powiedzieć prawdy? W tej chwili mocne współczucie ciągnęło mnie do niego! Pragnąłem gorąco wyrwać go ze środowiska łotrów, którym przewodził, i uratować jego głowę, póki czas jeszcze. Szwabrin i tłoczący się dokoła lud przeszkadzili mi wypowiedzieć to, co przepełniało moje serce.

Rozstaliśmy się po przyjacielsku. Ujrawszy w tłumie Akulinę Pamfłownę, pogroził jej palcem i mrugnął znacząco oczyma, siadł potem do kibitki, kazał jechać do Berdy i gdy konie ruszyły, jeszcze raz wychylił się z kibitki i krzyknął do mnie:

– Żegnaj, wasza wielmożność! A nuż ujrzymy się kiedyś jeszcze!

Istotnie, ujrzeliśmy się – lecz w jakich okolicznościach...

Pugaczow odjechał. Długo patrzyłem na biały step, po którym mknęła jego trójka. Tłum rozszedł się. Szwabrin zniknął. Wróciłem do domu popa. Wszystko było przygotowane do drogi: nie chciałem zwlekać dłużej. Rzeczy nasze złożono na starym wozie komendanta. Woźnice zaprzęgli błyskawicznie. Maria Iwanowna poszła pożegnać mogiły rodziców, pochowanych za cerkwią. Chciałem jej towarzyszyć, lecz prosiła, by zostawić ją samą. Po upływie kilku minut wróciła płacząc cicho, w milczeniu. Wózek podjechał. Siedzieliśmy we trójkę. Maria Iwanowna z Pałaszą i ja. Sawielicz wdrapał się na kozioł.

– Żegnaj, Mario Iwanowno, gołąbko moja! Żegnaj, Piotrze Andrieiczu, jasny nasz sokole!
– mówiła dobra popadia. – Szczęśliwej drogi i daj Boże szczęście wam obojgu!

Pojechaliśmy. W oknie domu komendanta widziałem stojącego Szwabrina. Twarz jego tchnęła posępną złością. Nie chciałem triumfować nad pokonanym wrogiem i zwróciłem oczy w przeciwną stronę. Wyjechaliśmy wreszcie z bramy i na zawsze opuściliśmy twierdzę Biełogorską.

Rozdział trzynasty

Areszt

*– Nie gniewaj się, mój panie: nakaz obowiązku
Zmusza mnie, by natychmiast słać cię do więzienia.
– Proszę, jestem gotowy; mam jednak nadzieję,
Że sprawę tę wyjaśnić pozwolisz mi wprzódy.*

Kniaźnin

Złączony tak nieoczekiwanie z kochaną dziewczeczką, o której los jeszcze rankiem taki mnie dręczył niepokój, nie wierzyłem sam sobie i zdawało mi się, że wszystko, co mi się przydarzyło, było tylko czczym snem. Maria Iwanowna spoglądała zamyślona to na mnie, to na drogę, jakby nie mogła się jeszcze opamiętać i przyjść do siebie. Milczeliśmy. Serca nasze były zbyt udręczone. Po dwu godzinach niepostrzeżenie znaleźliśmy się w pobliskiej, należącej również do Pugaczowa, twierdzy. Tam zmieniliśmy konie.

Sądząc z szybkości, z jaką zaprzężono, z pospiesznej usłużności brodatego Kozaka, mianowanego przez Pugaczowa komendantem, domyśliłem się, iż dzięki gadatliwości naszego woźnicy wzięto mnie za dworskiego dygnitarza.

Udaliśmy się w dalszą drogę. Zmierzch zapadał. Zbliżaliśmy się do miasteczka, gdzie wedle słów brodatego komendanta znajdował się silny oddział, spieszący, by złączyć się z samozwańcem. Warta zatrzymała nas. Na pytanie: „Kto jedzie?” woźnica odparł głośno: „Carski kum ze swoją kumą”. Nagle gromada huzarów, klnąc straszliwie, otoczyła nas.

– Wychodź, kumie diabelski! – zakrzyknął wąsaty wachmistrz. – Będziesz ty miał łaźnię razem ze swoją kumą!

Wyszedłem z kibitki i zażądałem, by mnie zaprowadzono do dowódcy. Ujrzawszy oficera, żołnierze przestali kłać. Wachmistrz zaprowadził mnie do majora. Sawielicz nie opuszczał mnie ani na krok, mruczając pod nosem: „Ot i masz carskiego kuma! Z deszczu pod rynnę!... Panie święty! Czymże to się skończy?” Kibitka z wolna ruszyła za nami.

W pięć minut doszliśmy do jasno oświetlonego domu. Wachmistrz zostawił mnie przy szyldwach i poszedł z meldunkiem. Wyszedł natychmiast zawiadamiając, że jego jaśnie wielmożność nie może mnie przyjąć z powodu braku czasu i że rozkazał zaprowadzić mnie do więzienia, gosposię zaś przyprowadzić do siebie.

– Cóż to znaczy? – krzyknąłem wściekle. – Czy mu się rozum pomieszał?

– Nie moja rzecz, wasza wielmożność – odparł wachmistrz. – Jeno jego jaśnie wielmożność rozkazał zaprowadzić waszą wielmożność do więzienia, jej wielmożność zaś rozkazano przyprowadzić do jego jaśnie wielmożności, wasza wielmożność!

Skoczyłem na ganek. Warta ani myślała mnie powstrzymywać, wbiegłem więc wprost do

pokoju, gdzie sześciu oficerów huzarskich grało w bank. Major poniterował. Lecz jakież było moje zdumienie, gdy spojrzawszy poznałem Iwana Iwanowicza Zurina, który niegdyś ogrzał mnie do nitki w sibirskiej traktierni!

– Czyż to możliwe? – zakrzyknąłem. – Tyżeś to, Iwanie Iwanowiczu?

– Ba, ba, ba, Piotr Andrieicz! Jakim cudem? Skąd? Witaj, bracie! Czy nie zechcesz postawić na kartę?

– Dziękuję. Każ lepiej dać mi kwaterę.

– Jaką tam kwaterę. Zostań u mnie.

– Nie jestem sam. Nie mogę. – No, to przyprowadź towarzysza.

– To nie towarzysz, to dama.

– Dama? A gdzieś ty ją wyłowił? Ehe, bracie! Mówiąc to, Zurin zagwizdał tak wyraziście, że wszyscy zachichotali, ja zaś całkiem się zmieszałem.

– No – dodał Zurin – niechże tak będzie. Znajdzie się dla ciebie kwatery. A szkoda... Pohulalibyśmy po staremu... Hej, chłopiec! Lecz czemuż to nie przyprowadzą tu kumci Pugaczowa? Czyżby się opierała? Powiedz jej, by się nie trwożyła; pan jak malowanie; nie obrazi, ale dobrze da po karku.

– Cóż to znowu? – rzekłem do Zurina. – Jaka tam kumcia Pugaczowa? To córka zmarłego kapitana Mironowa. Wyrwałem ją z niewoli, a teraz odwożę do wsi ojcowskiej, gdzie ją zostawię.

– Jak to?! A więc to o tobie meldowano mi przed chwilą? Na Boga! Co to znaczy?

– Później opowiem wszystko. A teraz, proszę cię, uspokój biedną dziewczynę, którą nastraszyli twoi huzarzy.

Zurin natychmiast się zakrzętnął. Sam wyszedł na ulicę przeprosić Marię Iwanownę za mimowolne nieporozumienie i rozkazał wachmistrzowi, „by znalazł dla niej najlepsze mieszkanie w mieście”. Ja zostałem u niego na nocleg. Zjadłem kolację i gdyśmy pozostali we dwójkę, opowiedziałem mu swoje przygody. Zurin słuchał z wielką uwagą. Gdy skończył, pokiwał głową i rzekł:

– Wszystko to, bracie, pięknie, jedno tylko niedobrze: po jakiego diabła chcesz się żenić? Ja, jako oficer z honorem nie chcę cię oszukiwać: małżeństwo to bzdura, wierz mi; co za myśl uganiać za żoną i niańczyć bachory? Ej, pluń na to! Posłuchaj mnie: odczep się od córki kapitana. Droga do Symbirskaja bezpieczna. Oczyszcili ją gruntownie. Odeślij pannę zaraz jutro, sam zaś zostań u mnie w oddziale. Do Orenburga nie masz po co wracać. Gdy znów wpadniesz w ręce buntowników, nie wiem, czy jeszcze raz uda ci się wykręcić. W ten sposób miłość sama przez się wywietrzeje ci z głowy i wszystko ułoży się jak najlepiej.

Choć niezupełnie się z nim zgadzałem, czułem jednak, że nakaz honoru wymaga mojej obecności w wojsku imperatorowej. Zdecydowałem się pójść za radą Zurina: odesłać Marię Iwanownę na wieś i pozostać w oddziale.

Sawielicz zjawił się, by mi pomóc w rozbieraniu, zapowiedziałem mu, by był gotów zaraz nazajutrz do drogi z Marią Iwanowną. Uparł się z początku.

– Cóż to, panie? Jakżeż to ja cię porzucę? Kto będzie czuwał nad tobą? Co rodzice twoi powiedzą?

Znając upór swego opiekuna zamyśliłem przekonać go szczerością i łaskawością.

– Przyjacielu mój, Archipie Sawieliczu! – rzekłem doń. – Nie odmawiaj, bądź moim dobroczyńcą; sługi mi nie potrzeba, lecz nie zaznam spokoju, jeśli Maria Iwanowna pojedzie bez ciebie. Służąc jej, służysz mnie, ponieważ postanowiłem mocno, gdy jeno okoliczności pozwolą, ożenić się z nią.

Tu Sawielicz klasnął w ręce z niewymownym zdumieniem.

– Ożenić się! – powtórzył. – Dziecko chce się żenić! A cóż powie ojczulek, co mateczka pomyśli?

– Zgodzą się, na pewno się zgodzą – odpowiedziałem – gdy poznają Marię Iwanownę.

Liczę i na ciebie. Ojciec i matka wierzą ci; będziesz naszym orędownikiem, prawda?

Starzec był wzruszony.

– Och, dobrodzieju ty mój. Piotrze Andrieiczu! – odparł. – Choć wcześniutko zamyśliłeś się żenić, lecz Maria Iwanowna to taka dobra panienska, że grzech byłoby ominąć sposobność. Niech tam już będzie po twojemu! Upilnuję ją, anioła bożego, i jak rab doniosę rodzicom twoim, że takiej narzeczonej niepotrzebny i posag.

Podziękowałem Sawieliczowi i położyłem się w jednym pokoju z Zurinem. Rozgorączkowany i wzruszony, rozgadałem się. Zurin rozmawiał ze mną chętnie, lecz stopniowo słowa jego padały rzadziej i bez związku; nareszcie miast odpowiedzi zachrapał i zagwizdał. Umilkłem i wkrótce poszedłem za jego przykładem.

Nazajutrz rankiem przyszedłem do Marii Iwanowny. Zwierzyłem się jej z moich zamiarów. Uznała ich słuszność i natychmiast wyraziła swoją zgodę. Oddział Zurina winien był tegoż dnia wymaszerować. Nie było czasu na zwłokę. Rozstałem się zaraz z Marią Iwanowną, powierzając ją Sawieliczowi i wręczając jej list do rodziców. Maria Iwanowna rozplakała się.

– Żegnaj, Piotrze Andrieiczu – rzekła cichym głosem – Bóg jeden wie, czy zdarzy się nam spotkać jeszcze; nigdy pana nie zapomnę; ty jeden do grobu pozostaniesz w moim sercu.

Nie mogłem nic odpowiedzieć. Naokół nas byli ludzie. Nie chciałem wyjawić uczuć wstrząsających moją duszę. Nareszcie Maria Iwanowna odjechała. Milczący i smutny wróciłem do Zurina. Chciał mnie rozweselić, ja też chciałem rozerwać się; szumnie i hucznie przepędziliśmy dzień, wieczorem zaś wymaszerowaliśmy z miasta.

Działo się to pod koniec lutego. Zima, utrudniająca działania wojenne, mijała i generałowie nasi szykowali się do wspólnej akcji. Pugaczow wciąż jeszcze stał pod Orenburgiem. Tymczasem naokół niego łączyły się oddziały wojsk rządowych i ze wszech stron zbliżały się do zbójckiego gniazda. Na widok wojsk korzyły się zbuntowane wsie; bandy zbójów wszędzie uciekały przed nami i wszystko zwiastowało szybki i szczęśliwy koniec.

Wkrótce pod Tatiszczewą ksiązę Golicyn rozbił Pugaczowa, rozproszył jego oddziały, oswobodził Orenburg i, zdawało się, zadał buntownikom ostatni i decydujący cios. Zurin w tym czasie został odkomenderowany przeciwko bandzie zbuntowanych Baszkirów, którzy rozproszyli się, zanim zdołaliśmy ich ujrzeć. Wiosna zaskoczyła nas w wiosce tatarskiej. Rzeczki wylały i drogi stały się nie do przebycia. Pocieszaliśmy się w naszej beczynności myślą o bliskim końcu małej, nudnej wojny z dzikusami i zbójami.

Lecz Pugaczowa nie schwytano. Zjawił się w kopalniach sybirskich, zebrał nowe bandy i znów puścił się na rozbój. Rozeszły się znów pogłoski o jego zwycięstwach. Dowiedzieliśmy się o zburzeniu twierdz syberyjskich. Wkrótce wieść o wzięciu Kazania i o marszu samozwańca na Moskwę zatrwożyła dowódców wojsk rządowych, którzy spokojnie drzemali licząc na słabość pogardzanego buntownika. Zurin otrzymał rozkaz przepłynięcia się przez Wołgę.

Nie będę opisywał naszej wyprawy i zakończenia wojny. Powiem krótko, że bieda była ostateczna. Przechodziliśmy przez zniszczone przez Pugaczowa wsie i wbrew własnej woli zabieraliśmy nieszczęsnym mieszkańcom to, co udało się im uratować. Władz nigdzie nie było. Szlachta kryła się po lasach. Bandy zbójów łotrwały wszędzie. Dowódcy poszczególnych oddziałów karali samowolnie winnych i niewinnych. Stan rozległego kraju, gdzie szalał pożar, był okropny. Nie daj Boże widzieć bunt rosyjski, bezmyślny i bezlitosny.

Pugaczow uciekał, ścigany przez Iwana Iwanowicza Michelsona. Usłyszeliśmy niebawem o ostatecznej jego klęsce. Zurin otrzymał wreszcie wiadomość o schwytaniu samozwańca, a wraz z nią rozkaz wstrzymania działań. Wojna była skończona. Mogłem nareszcie jechać do moich rodziców! Myśl, że ich uściskam, że ujrzę Marię Iwanownę, o której nie miałem żadnej wieści, napełniła mnie zachwytem. Cieszyłem się jak dziecko. Zurin śmiał się i mówił

wzruszając ramionami.

– Nie! Nic z ciebie nie będzie! Ożenisz się, zmarniejesz!

Tymczasem dziwne uczucie zatruwało moją radość i mimo woli trwożyła mnie myśl o złoczyńcy, splamionym krwią tylu ofiar niewinnych, i czekającej go karze. „Jemiela, Jemiela – myślałem ze wzruszeniem – czemu nie nadziałeś się na bagnet, nie trafiłeś pod kartacze? Nic lepszego spotkać by cię nie mogło”. Cóż począć? Myśl o nim związana była nierozłącznie z myślą o oszczędzeniu mnie w jednej ze strasznych chwil życia i o uratowaniu mej narzeczonej z rąk podłego Szwabrina.

Zurin dał mi urlop. Za kilka dni miałem znaleźć się w gronie rodziny, ujrzeć znów moją Marię Iwanownę... Nagle zwała się na mnie nieoczekiwana burza.

W oznaczonym dniu, w tej właśnie chwili gdy szykowałem się do drogi, wszedł Zurin do mojej izby trzymając w ręku papier; wygląd miał wielce zakłopotany. Coś ukłuło mnie w serce. Złakłem się, sam nie wiem czego. Odesłał mojego ordynansa i zawiadomił mnie, że ma do mnie sprawę.

– Cóż takiego? – spytałem zaniepokojony.

– Małeńka nieprzyjemność – odrzekł wręczając mi papier. – Przeczytaj, com otrzymał przed chwilą.

Zacząłem czytać: był to rozkaz sekretny do wszystkich samodzielnych dowódców, by mnie aresztować, gdziekolwiek się znajduję, i odesłać natychmiast pod strażą do komisji śledczej w Kazaniu, ustanowionej w sprawie Pugaczowa.

Papier omal nie wypadł mi z rąk.

– Nie ma co! – rzekł Zurin. – Obowiązkiem moim posłuchać rozkazu. Widocznie wieść o twych przyjacielskich podróżach z Pugaczowem doszła jakoś do władz. Mam nadzieję, że sprawa twoja nie będzie miała żadnych złych skutków i że usprawiedliwisz się przed komisją. Nie martw się i jedź.

Sumienie miałem czyste, sądu nie lękałem się; lecz myśl o odwleczeniu chwili słodkiego spotkania może na kilka miesięcy – napelniała mnie trwogą. Bryczka była gotowa. Zurin pożegnał się ze mną po przyjacielsku. Wsadzono mnie na bryczkę. Siedli wraz ze mną dwaj huzarzy z obnażonymi szablami i ruszyliśmy traktem.

Sąd

Ludzkie żale – Morskie fale.

Przysłowie

Byłem pewny, że przyczyną wszystkiego był mój samowolny wyjazd z Orenburga. Usprawiedliwić się mogłem łatwo: harce z nieprzyjacielem nie tylko nie były zakazane, lecz usilnie zachęcano do nich. Można było oskarżać mnie o zbytnią zapalczywość, lecz nie o brak posłuchu. Ale mnóstwo świadków mogło dowieść, jak przyjazne były moje stosunki z Pugaczowem, i to mogło się wydać istotnie co najmniej nader podejrzane. Przez całą drogę rozmyślałem o oczekujących mnie indagacjach i szukałem odpowiedzi na nie; postanowiłem wreszcie odsłonić sądowi całą prawdę, uważając ten sposób za najlepszy i zarazem najpewniejszy.

Przyjechałem do Kazania, spustoszonego i spalonego. Wzdłuż ulic, tam gdzie były domy, leżały kupy zwęglonych belek i sterczały okopcone ściany bez dachów i okien. Takie ślady zostawił po sobie Pugaczow! Przywieziono mnie do twierdzy, ocalałej wśród spalonego miasta. Huzarzy oddali mnie w ręce dyżurnego oficera, który kazał zawołać kowala. Nałożono mi łańcuch na nogi i skuto go na głucho. Zaprowadzono mnie potem do więzienia i pozostawiono samego w ciasnej i ciemnej komórce, sam na sam z gołymi ścianami i z zasłoniętym żelazną kratą okienkiem.

Taki początek nie obiecywał nic dobrego. Nie traciłem jednak otuchy i nadziei. Uciekłem się do jedynej pociechy wszystkich cierpiących i skosztowawszy po raz pierwszy słodczy modlitwy, wypowiedzianej z czystego, choć bolejącego serca, zasnąłem spokojnie, nie troszcząc się o to, co się ze mną stanie.

Nazajutrz zbudził mnie stróż więzienny zawiadamiając, że wzywają mnie na komisję. Dwaj żołnierze zaprowadzili mnie przez podwórze do domu komendanta, zatrzymali się w sieni i wpuścili samego do pokojów.

Wszedłem do sali dość obszernej. Przy stole pokrytym papierami siedziały dwie osoby: podeszły wiekiem generał o surowej, chłodnej twarzy i młody kapitan gwardii, lat dwudziestu ośmiu, o bardzo przyjemnej powierzchowności, łatwy i swobodny w obejściu. Przy osobnym stoliku pod oknem siedział sekretarz z piórem za uchem, pochylony nad papierem, gotowy do zapisywania moich zeznań. Zaczęła się indagacja. Spytali mnie o imię i rodowód. Generał zapytał, czy nie jestem synem Andrzeja Pietrowicza Griniowa, a po mojej odpowiedzi odezwał się surowo:

– Szkoda, że tak szanowny człowiek ma tak niegodnego syna!

Odparłem spokojnie, że jakiegokolwiek by na mnie ciążyły oskarżenia, mam nadzieję

rozproszyć je szczerym wyjawieniem prawdy. Pewność moja nie podobała mu się.

– Bystry jesteś, bracie – rzekł chmurząc się – lecz widzieliśmy tu już i takich.

Natenczas młody oficer zapytał: w jakich okolicznościach i kiedy wszedłem do służby Pugaczowa i do jakich spraw byłem przezeń używany.

Odparłem z oburzeniem, że jako szlachcic i oficer nie mogłem wstąpić do żadnej służby u Pugaczowa ani też przyjmować od niego żadnych poruczeń.

– Jak więc to się stało – odparł mój inkwizytor – że szlachcic i oficer jeden jedyny został oszczędzony przez samozwańca, gdy tymczasem wszystkich pozostałych wymordowano po zbójce? Jakim sposobem tenże oficer i szlachcic ucztuje po przyjacielsku z buntownikami i od głównego złoczyńcy przyjmuje podarki: futro, konia i pieniądze? Skąd wzięła się tak dziwna przyjaźń i na czym się opierała, jeśli nie na zdradzie lub co najmniej na haniebnej i występnej małoduszności?

Słowa oficera gwardii dotknęły mnie głęboko i jałem z ogniem usprawiedliwiać się. Opowiedziałem, jak zaczęła się moja znajomość z Pugaczowem w stepie podczas burzy śnieżnej, jak po wzięciu twierdzy Biełogorskiej poznał mnie i oszczędził. Powiedziałem, że istotnie nie wahałem się przyjąć kozucha i konia od samozwańca, lecz twierdzy Biełogorskiej broniłem przeciw łotrowi do końca. Powołałem się wreszcie na mojego generała, który mógł dać świadectwo mojej gorliwości w czasie nieszczęsnego oblężenia Orenburga.

Surowy starzec wziął ze stołu otwarty list i począł czytać go głośno:

„Na zapytanie Waszej Dostojności w sprawie podchorążego Griniowa, który jakoby wmieszał się do obecnych zaburzeń i wszedł w niedozwolone z punktu widzenia służbowego oraz przeciwne obowiązkowi przysięgi stosunki z łotrem, mam honor wyjaśnić, co następuje: rzeczony podchorąży Griniow znajdował się na służbie w Orenburgu od początku października ubiegłego 1773 roku do 24 lutego bieżącego roku, której to daty opuścił miasto i od tej chwili nie meldował się w dowództwie. Od zbiegów zaś doszły wieści, że był u Pugaczowa w słobodzie i wraz z nim jeździł do twierdzy Biełogorskiej, gdzie uprzednio pełnił służbę; co się zaś tyczy jego sprawowania, mogę...”

W tym miejscu generał przerwał czytanie i rzekł do mnie głosem surowym:

– Cóż teraz powiesz na swe usprawiedliwienie? – Chciałem być ciągnąć dalej, jakem zaczął, i opowiedzieć o moim związku z Marią Iwanowną równie szczerze, jak o wszystkim innym, lecz poczułem nagle wstręt nieprzezwyjęzony. Przyszło mi do głowy, że jeśli wymienię jej nazwisko, to komisja wezwie ją na śledztwo, i myśl wplątania jej imienia do haniebnych wykrętów łotrów oraz narażenia jej na konieczność konfrontacji z nimi – ta myśl okropna przeraziła mnie tak, że zmieszałem się i zacząłem plątać się w odpowiedziach.

Sędziowie moi, którzy, zdawało się, zaczęli słuchać moich tłumaczeń z pewną życzliwością, znów uprzedzili się do mnie na widok mego zmieszania. Oficer gwardii zażądał, by skonfrontowano mnie naocznie z głównym donosicielem. Generał kazał wezwać wczorajszego łotra. Żywo zwróciłem się ku drzwiom, oczekując na zjawienie się mego oskarżyciela. Po upływie kilku minut zabrzączały łańcuchy, drzwi się rozwarły i wszedł – Szwabrin. Zdumiało mnie, jak się zmienił. Był straszliwie chudy i blade. Jego tak niedawno czarne jak smoła włosy posiwiały zupełnie; długa broda była potargana. Potwierdził swoje zeznania słabym, lecz śmiałym głosem. Wedle jego słów, Pugaczow odkomenderował mnie do Orenburga w charakterze szpiega; wyjeżdżałem co dzień na podjazd, by wręczać sprawozdania na piśmie o wszystkim, co się działo w mieście; wreszcie jawnie przeszedłem na służbę samozwańca, jeździłem z nim od twierdzy do twierdzy, usiłując wszelkimi sposobami gubić swych towarzyszy zdrajców, aby zająć ich miejsca i korzystać z rozdawanych przez samozwańca nagród. Wysłuchałem go w milczeniu i zadowolony byłem z jednego: imię Marii Iwanowny nie padło z ust nikczemnego łotra, czy to, że próżność jego

cierpiała na myśl o tej, co odepchnęła go z pogardą, czy też, że w sercu jego tliła się iskra tego uczucia, które i mnie zmusiło do milczenia. Bądź co bądź imię córki bielogorskiego komendanta nie zostało wymówione przed obliczem komisji. Utrwaliłem się jeszcze mocniej w moim zamiarze i gdy sędziowie zapytali: czym mogę odeprzeć zeznania Szwabrina, odpowiedziałem, że trwam przy pierwotnych mych wyjaśnieniach i nic więcej nie mam do dodania na swe usprawiedliwienie. Generał rozkazał nas wyprowadzić. Wyszliśmy razem. Spojrzałem spokojnie na Szwabrina, lecz nie rzekłem doń ani słowa. On – uśmiechnął się jadownicie i ująwszy w garść swe łańcuchy, wyprzedził mnie przyspieszając kroku. Odprowadzono mnie znów do celi i odtąd nie wzywano już na indagację.

Nie byłem świadkiem tego, co mam obecnie opowiedzieć czytelnikowi, lecz tak często słyszałem opowieści o tym, że najdrobniejsze szczegóły wbiły mi się w pamięć i wydaje mi się, jakobym i tu był świadkiem niewidzialnym.

Marię Iwanownę przyjęto w domu naszym z serdecznością, która tak cechowała ludzi w dawnych latach. Widzieli łaskę boską w tym, że dano im sposobność przytulić biedną sierotę i zająć się jej losem. Wkrótce też szczerze przywiązali się do niej, jako że niepodobieństwem było poznać ją i nie pokochać. Miłość moja nie wydała się już ojcu pustotą, matka zaś tylko tego pragnęła, by jej Pietia ożenił się z kochaną córką kapitana.

Wieść o moim aresztowaniu spiorunowała wszystkich moich bliskich. Maria Iwanowna z taką prostotą opowiedziała rodzicom o mojej dziwacznej znajomości z Pugaczowem, że nie tylko ich ona nie zaniepokoiła, lecz pobudzała często do szczerego śmiechu. Ojciec nie chciał wierzyć, ażebym mógł wziąć udział w haniebnym buncie, którego celem było obalenie tronu i zniszczenie szlachty. Poddał przede wszystkim surowej indagacji Sawielicza. Opiekun mój nie ukrywał, że bywałem gościem u Pugaczowa i że ów łotr traktował mnie łaskawie; lecz zaklinał się, że o żadnej zdradzie nie słyszał. Staruszkowie uspokoili się i niecierpliwie jęli oczekiwać dobrych wiadomości. Maria Iwanowna mocno była zaniepokojona, lecz milczała, albowiem cechowały ją skromność i delikatność.

Minęło kilka tygodni... Nagle ojciec otrzymuje list od naszego krewnego księcia B. Książę pisze o mnie. Po zwykłym wstępie zawiadamiał, iż podejrzenia co do udziału mojego w czynnościach buntowników okazały się, na nieszczęście, aż nadto ugruntowane, że przykładowa kara winna była mnie dotknąć, lecz monarchini przez szacunek dla zasług i podeszłych lat mego ojca zdecydowała się ułaskawić występnego syna i darując mu haniebną karę rozkazała zesłać go tylko do odległych miejscowości Syberii na wieczne osiedlenie.

Nieoczekiwany ten cios omal nie zabił mego ojca. Opuścił go zwykły hart i gorycz jego, zazwyczaj niema, wylała się w bolesnych skargach.

– Jak to?! – powtarzał nie panując nad sobą – mój syn brał udział w knowaniach Pugaczowa! Boże sprawiedliwy, czego dożyłem. Monarchini uwalnia go od kary! Czyż będzie mi wtedy źle? Niestraszna jest kara: praszczur mój zginął na miejscu kaźni, broniąc tego, co uważał w swoim sumieniu za świętość, ojciec mój cierpiał razem z Wołyńskim i Chruszczowem. Lecz szlachcic zdradzający przysięgę, łączący się ze zbójcami, mordercami, ze zbiegłym chłopstwem! Wstyd i hańba dla całego naszego rodu!!!

Przerażona rozpaczą ojca matka nie śmiała płakać przy nim i starała się wzbudzić w nim otuchę mówiąc, że błędne bywają sądy ludzkie. Lecz ojciec był niepocieszony.

Maria Iwanowna przekonana, że mógłbym, gdybym tylko chciał, usprawiedliwić się, odgadywała prawdę i uważała się za sprawczynię mojego nieszczęścia. Ukrywała przed wszystkimi swoje łzy i cierpienia; tymczasem zaś myślała nieustannie o sposobach ratunku dla mnie.

Pewnego wieczoru ojciec siedział na kanapie przerzucając karty „Kalendarza Dworskiego”, lecz myślami był daleko i lektura nie oddziaływała na niego tak jak zwykle. Ojciec pogwizdywał jakiegoś starego marsza. Matka robiła na drutach szalik, a łzy z rzadka kapały na robótkę. Nagle siedząca tuż obok Maria Iwanowna powiedziała, że musi jechać do

Petersburga i że prosi o odpowiednie środki na tę podróż. Mateczka zasmuciła – się bardzo. „Na co ci Petersburg? – rzekła. – Czyżbyś i ty chciała nas porzucić?” Maria Iwanowna odpowiedziała, że cała jej przyszłość zależy od tej podróży, że jedzie szukać pomocy i protekcji ludzi możnych, jako córka człowieka, który stał się ofiarą swej wierności.

Ojciec mój zwiesił głowę: każde słówko przypominające mu rzekomy występki syna było dlań ciężarem i zdawało mu się jadowitym wyrzutem. „Jedź, córko! – rzekł z westchnieniem. – Nie chcemy stawać na przeszkodzie twojemu szczęściu. Daj ci, Boże, spotkać dobrego człowieka, nie zaś splamionego zdrajcę”. Wstał i wyszedł z pokoju.

Pozostawszy sam na sam z matką, Maria Iwanowna częściowo zwierzyła się jej ze swych projektów. Matka ze łzami uściskała ją i zmówiła modlitwę na intencję szczęśliwego zakończenia sprawy. Maria Iwanowna, zaopatrzona we wszystko, po upływie kilku dni udała się w drogę z wierną Pałaszą i z wiernym Sawieliczem, który, przemocą rozłączony ze mną, pocieszał się w strapieniu myślą, że służy mojej narzeczonej.

Maria Iwanowna szczęśliwie przybyła do Sofii i dowiedziawszy się na stacji pocztowej, że dwór przebywał w tym czasie w Carskim Siole, zdecydowała się tam zatrzymać. Dano jej kącik za przepierzeniem. Żona nadzorcy rozgadała się z nią natychmiast, komunikując, że jest krewną nadwornego palacza, i wtajemnicząc ją we wszystkie sekrety dworskiego życia. Opowiedziała, o której godzinie monarchini zwykła budzić się ze snu, pić kawę, spacerować, jacy dygnitarze znajdują się przy niej w tej chwili, o czym raczyła mówić przy stole w dniu wczorajszym, kogo przyjmowała wieczorem. Słowem, opowieść Anny Własiewny warta była kilku stronik pamiętników historycznych i byłaby bardzo cenna dla potomności. Maria Iwanowna uważnie słuchała wszystkiego. Poszły razem do ogrodu. Anna Własiewna opowiedziała historię każdej alei, każdego mostku i używszy do syta przechadzki wróciły obie do domu, nader z siebie zadowolone.

Nazajutrz rankiem Maria Iwanowna obudziła się, ubrała i po cichu poszła do ogrodu. Ranek był przepiękny, słońce oświecało wierzchołki lip, pożółkłych już pod chłodnym powiewem jesieni. Nieruchomo jaśniało szerokie jezioro. Zbudzone łabędzie z powagą wypływały spod krzaków ocieniających brzeg. Maria Iwanowna okrążyła piękną łąkę, gdzie właśnie postawiono pomnik na cześć niedawnych zwycięstw hrabiego Piotra Aleksandrowicza Rumiancewa. Nagle biały piesek angielskiej rasy zaszczeakał i wybiegł naprzeciw niej. Maria Iwanowna zlekła się i stanęła. W tej chwili usłyszała przyjemny głos kobiety:

– Proszę się nie lękać, nie ugryzie. I Maria Iwanowna ujrzała damę siedzącą na ławeczce naprzeciw pomnika. Maria Iwanowna siadła na drugim końcu ławki. Dama uważnie patrzyła na nią, a i Maria Iwanowna rzuciwszy kilka spojrzeń zdążyła obejrzeć ją od stóp do głów. Nieznajoma miała na sobie biały strój poranny, czepek nocny i ciepły kabacik. Wyglądała na lat czterdzieści. Twarz jej, rumiana i pełna, tchnęła powagą i spokojem, niebieskie zaś oczy i lekki uśmiech czarowały niewysłowionym wdziękiem. Dama pierwsza przerwała milczenie.

– Pani zapewne nietutejsza? – rzekła.

– Tak, pani: wczoraj dopiero przybyłam z prowincji.

– Przyjechała pani z krewnymi?

– Nie, przyjechałam sama.

– Sama! Lecz pani jeszcze tak młoda.

– Nie mam ojca ani matki.

– Pani, rozumie się, przyjechała w jakiejś sprawie?

– Tak jest. Przyjechałam złożyć prośbę monarchini.

– Jest pani sierotą: skarży się pani zapewne na niesprawiedliwość i prześladowanie?

– Nie, pani. Przyjechałam prosić o łaskę, nie o sprawiedliwość.

– Pozwoli pani zapytać, jak nazwisko pani?

– Jestem córką kapitana Mironowa.

- Kapitana Mironowa! Tego, co był komendantem jednej z twierdz orenburskich?
- Tak jest, istotnie.

Dama była widocznie wzruszona.

– Wybacz mi pani – rzekła głosem bardziej jeszcze łaskawym – że wtrącam się do jej spraw, lecz bywam u dworu: proszę mi powiedzieć, na czym polega prośba; uda mi się, być może, pomóc pani.

Maria Iwanowna Iwanowa wstała i podziękowała z szacunkiem. W nieznanym wszystkim chwyciła za serce i wzbudzało zaufanie. Maria Iwanowna wyjęła z kieszeni złożony arkusz papieru i wręczyła go swej nowej opiekunce, która jeła go czytać po cichu.

Czytała zrazu uważnie i łaskawie, lecz nagle twarz jej pociemniała, i Marię Iwanownę, pilnie obserwującą każdy jej ruch, przeraził surowy wyraz, tak przyjemnego i spokojnego przed chwilą oblicza.

– Prosi pani o Griniowa? – rzekła chłodno. – Monarchini nie może mu wybaczyć. Przyłączył się on do samozwańca nie przez nieświadomość lub lekkomyślność; to nikczemny i szkodliwy nicpoń.

– Ach, nieprawda! – krzyknęła Maria Iwanowna.

– Jak to nieprawda?! – spytała dama oblewając się rumieńcem.

– Nieprawda, klnę się na Boga, nieprawda! Ja wiem wszystko, wszystko pani opowiem. Dla mnie jednej naraził się na to, co go spotkało. I jeśli nie usprawiedliwił się przed sądem, to chyba dlatego jedynie, by mnie nie wplątać.

I z ogniem opowiedziała to, co znane jest już czytelnikowi.

Dama wysłuchiwała z uwagą.

– Gdzie pani się zatrzymała? – zapytała później; usłyszawszy zaś, że u Anny Własiewny, dodała z uśmiechem:

– A! Wiem. Żegnam panią, proszę nie mówić nikomu o naszym spotkaniu. Mam nadzieję, że niedługo czekać pani będzie na odpowiedź.

Z tymi słowami wstała i poszła szpalerem. Maria Iwanowna wróciła do Anny Własiewny, przepełniona radosną nadzieją.

Gospodyni robiła jej wyrzuty za wczesny spacer jesienią, szkodliwy wedle jej słów dla zdrowia młodej panienki. Po czym przyniosła samowar, lecz zaledwie zaczęła przy szklance herbaty prawić swe nieskończone opowieści o życiu dworskim, gdy nagle przed ganek zajechała karetą i oberlokaj wszedł z zawiadomieniem, że monarchini raczyła wezwać do siebie pannę Mironow.

Anna Własiewna zdumiała się i przerażiła.

– Ach, Boże! – zakrzyknęła. – Monarchini wzywa cię do dworu. I skąd dowiedziała się o tobie? Lecz jakżeż ty, dziecko, przedstawiś się Najjaśniejszej Pani? Nie potrafisz, sądzę, nawet chodzić po dworsku... Czy nie wypada, żebym ci towarzyszyła? Zawsze tam mogłabym ostrzec cię w porę. I jak ty pojedziesz w stroju podróznym? Może by posłać do akuszerki po jej żółty robion?

Lokaj oświadczył wszelako, że monarchini życzy sobie, żeby Maria Iwanowna jechała sama i w tym stroju, w jakim ją zastano. Trudna rada:

Maria Iwanowna siadła do karety i udała się do pałacu, pożegnana radami i błogosławieństwami Anny Własiewny.

Maria Iwanowna przeczuwała, że nadchodzi chwila rozstrzygnięcia jej losów; serce biło jej mocno aż do omdlenia. Po upływie kilku chwil karetą zatrzymała się przed pałacem. Maria Iwanowna z drżeniem weszła na schody. Drzwi otwierały się przed nią na oścież. Przeszła przez długi rząd wspaniałych, pustych komnat – lokaj wskazywał jej drogę. Podeszedłszy wreszcie do drzwi zamkniętych zapowiedział, że zamelduje o niej natychmiast, i zostawił ją samą.

Myśl ujrzenia monarchini tak ją przerażała, że z wysiłkiem trzymała się na nogach. Po

chwili drzwi rozwarły się i Maria Iwanowna weszła do gotowalni monarchini.

Imperatorowa siedziała przed lustrem. Kilku dworaków otaczało ją i z szacunkiem ustąpiło miejsca Marii Iwanownie. Monarchini łaskawie zwróciła się do niej i Maria Iwanowna poznała w niej tę damę, której tak otwarcie zwierzała się niedawno. Imperatorowa skinęła na nią i rzekła z uśmiechem:

– Cieszę się, że mogłam dotrzymać słowa i spełnić prośbę pani. Sprawa pani wygrana.

Przekonana jestem o niewinności pani narzeczonego. Oto list, który zechce pani zawieźć przysłanemu świekrowi.

Maria Iwanowna wzięła list drżącą ręką i z płaczem padła do nóg imperatorowej, która podniosła ją i ucałowała. Następnie wszczęła z nią rozmowę.

– Wiem, że pani nie jest bogata – rzekła – lecz ja jestem dłużniczką kapitana Mironowa. Proszę nie troszczyć się o przyszłość. Podejmuję się zająć losem pani.

Tak obdarzywszy łaskami biedną sierotę, monarchini pożegnała ją. Maria Iwanowna odjechała w tejże karecie dworskiej. Oczekująca niecierpliwie jej powrotu Anna Własiewna zasypała ją pytaniami, na które Maria Iwanowna odpowiadała byle jak. Jakkolwiek niezadowolona z jej roztargnienia, Anna Własiewna przypisała je prowincjonalnej nieśmiałości i wybaczyła wspaniałomyślnie. Tegoż dnia, nie rzuciwszy nawet okiem na Petersburg, Maria Iwanowna wróciła na wieś.

*

W tym miejscu kończą się pamiętniki Piotra Andriejewicza Griniowa. Z podań rodzinnych wiadomo, że wypuszczono go z więzienia z rozkazu cesarzowej pod koniec 1774 roku, że był obecny przy egzekucji Pugaczowa, że samozwaniec poznał go w tłumie i skinał mu głowę, którą po chwili, martwą i okrwawioną, pokazano ludowi. Wkrótce potem Piotr Andriejewicz ożenił się z Marią Iwanowną. Potomstwo ich kwitnie w sybirskiej guberni. W odległości trzydziestu wiorst od *** znajduje się sioło, należące do dziesięciu obywateli ziemskich. W jednym z budynków dworskich pokazują własnoręczny list Katarzyny II, w ramce i za szkłem. Wysłany do ojca Piotra Andrieicza, zawiera w treści usprawiedliwienie syna i pochwałę dla rozumu i serca córki kapitana Mironowa.

Rękopis Piotra Griniowa dostarczył nam jeden z jego wnuków, który dowiedział się, że pracujemy nad historią czasów opisanych przez jego dziada. Zdecydowaliśmy, za pozwoleniem krewnych, wydać rzeczony rękopis, zaopatrując każdy rozdział stosownym epigrafem i zmieniając niektóre imiona własne.

Wydawca

19 października 1836 roku.

Korekta Aleksander Baliński